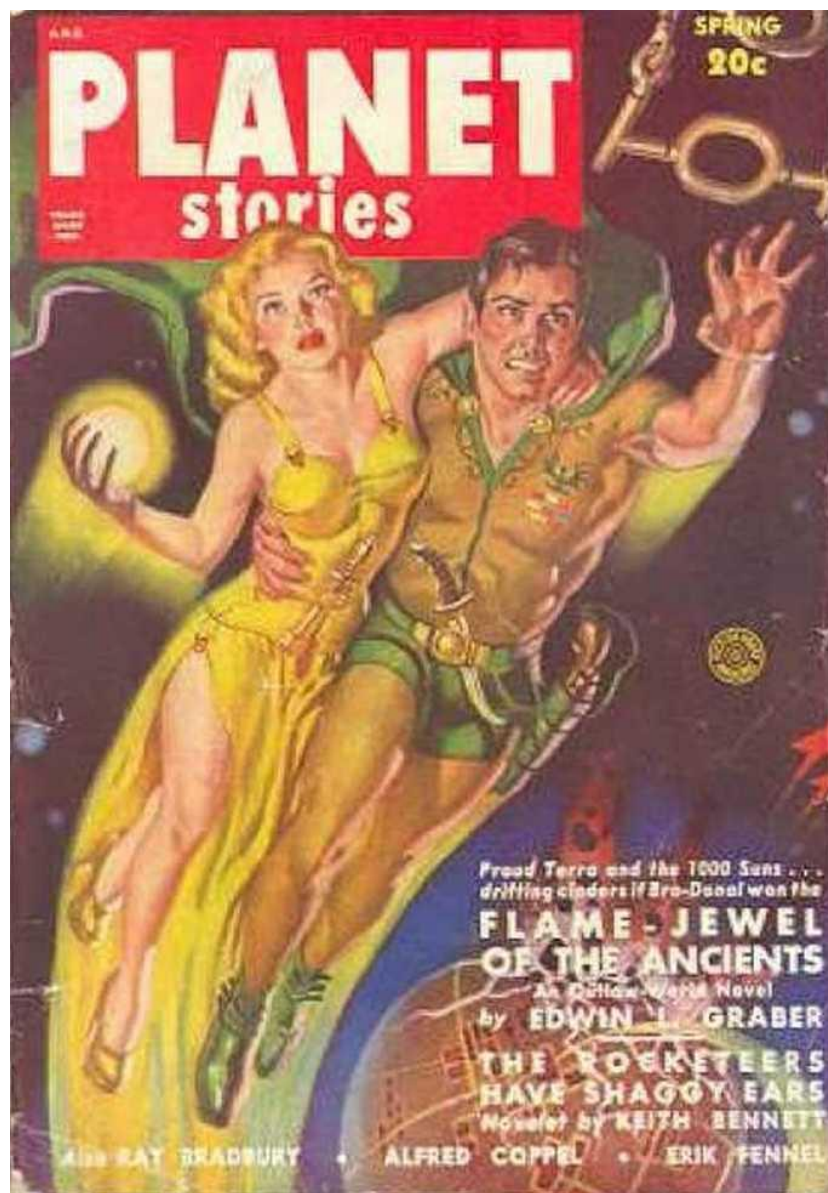




Keith Bennett

Rakietarze mają kudłate uszy

(The Rocketeers Have Shaggy Ears)

Planet Stories Volume 4, Number 6, Spring 1950
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the novella "The Rocketeers Have Shaggy Ears" by Keith Bennett, included in magazine "Planet Stories", Volume 4, Number 6, Spring 1950, published in Internet Archives by Gerard Arthus, 2010-01-05, url: http://www.archive.org/details/Planet_Stories_Volume_4_Number_6_, under Creative Commons license: Public Domain, <http://creativecommons.org/licenses/publicdomain/>

According to the included copyright notice:

"Copyright was issued in 1948, but no renewal was recorded, this work is Public Domain under Rule 6 of the Copyright Statutes of the United States."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.



Pewnego dnia powstaną takie legendy, jak ta. Pewnego dnia z parnej Venus albo z pustynnego Marsa nadejdą wstrząsające i przejęte grozą wiadomości, powtarzane pomiędzy ludźmi, budujące obraz chwały tak wielkiej, że nasze gardła dławiła będzie duma. Dumą z Ludzi z Terry!

Rozdział I

Głos komandora rozbrzmiewał przez cały czas, ale zmęczony mózg Hague odbierał go tylko jako zwykły sygnał dźwiękowy, pozbawiony rozróżnialnych słów albo jakiegokolwiek znaczenia. Ciągłe jeszcze czuł się oszołomiony po katastrofie. Jak popsuty fonograf jego mózg w kółko odtwarzał rozdzierający ryk wybuchających komór silników rakietowych, budzący mdłości gwałtowny przechył, który rzucił wszystkich znajdujących się w sterówce ludzi na podłogę. Światła zamigotały a potem zgasły, i rozpoczął się szaleńczy ześlizg z dużej wysokości, aż do chwili kiedy Rakietą Patrolowa Jeden przebiła gęsty parasol, utworzony przez korony drzew wenusjańskiego lasu tropikalnego, i uderzyła w ziemię na końcu przesieki drzew powalonych energią jej pędu.

Hague z uporem mrugał oczyma, i próbował zmusić mózg do skupienia się na tym, co mówił komandor Devlin, coś o Bazie i Odyseuszu, statku-matce.

– Mamy do pokonania pięćset mil, zanim dotrzemy w ich pobliże, a każdy jard tej drogi musimy przejść na własnych nogach. Wyprawy myśliwskie będą polować na jadalne zwierzęta. Każda kropla wody ma zostać przegotowana i naświetlona ultrafioletem przez moją sekcję. Fotografowie będą maszerować razem z sekcją naukową, która zajmie się dalszą klasyfikacją okazów i opisywaniem ich w raportach. Nie będziemy zabierać żadnych fizycznych okazów. Nie możemy sobie pozwolić na kolejne dodatkowe obciążenie.

Dla Hague, pozostałych pięciu ludzi siedzących dookoła małego stołu do rysowania map, wyglądało na zupełnie spokojnych, z ufnością we własne siły gotowych do marszu przez pięćset czy nawet tysiąc mil ciemnego, niezbadanego jeszcze, parnego Piekła, jakim był wenusjański las tropikalny. Ich mocno skupione twarze, nacechowane były chłodnym spokojem. Kiedy wzrok komandora po kolei spoczywał na każdym z nich, odpowiadali skinieniem głową. Hague zastanawiał się jednak, czy jego własna twarz nie zdradzała czasami lęku czającego się mu w duszy. Nagle komandor uśmiechnął się szeroko i wyciągnął z kieszeni butelkę brandy. Odkręcił korek, mówiąc:

– No cóż, panowie Rakieciarze, za krótkie, ale wesołe życie. Ja nigdy nie dałbym nawet złamanego grosza za latanie w tych metalowych pudłach.

Napięcie prysło, wszyscy zaczęli uśmiechać się i żartować, że kiedy już dojdą do bazy, to dla podniesienia morale Mesy Oficerskiej, wmaszerują do obozu każdy z wenusjańską kobietą pod pachą.

Wnętrza Hagena przez cały czas wypełniał jednak lodowaty ciężar zdenerwowania oraz zwątpienia w swoje możliwości, których przecież

jeszcze nie miał okazji wypróbować. Odszedł więc już po pierwszym kieliszku. Pozostali wylali się z jasno oświetlonego wjazdu, w kilka chwil później. Komandor wygłosił krótkie przemówienie do całej grupy. Później nawigator Clark, uśmiechnięty, szczupły, niewysoki człowiek, wyruszył z dowodzoną przez siebie strażą przednią. Ich głosy nagle zaczęły cichnąć, aż w końcu zupełnie stłumione, umilkły w głębi leśnego korytarza, rozciągającego się ponurym szlakiem, pomiędzy pniami gigantycznych drzew.

Komandor Devlin, przechodząc koło Hague, radośnie klepnął go w ramię. Za nim maszerował drugi oddział ludzi, ubranych w nienagannie uporządkowane, niebiesko-czarne mundury ze srebrnymi szamerunkami. Ich śladem podążali marynarze Didrickson i Davis z karabinami i zwisającymi z obu boków pełnymi naboji bandoletami, krzyżującymi im się na piersiach. Jako kolejny szedł Arndt, szczupły, kanciasty geolog, trzymając rękę na temblaku, a u jego boku maszerował okrągłutki botanik Gault, z połową twarzy zakrytą goglami. Dalej klekotał silnik małej tankietki, z której wieżyczki uśmiechała się do Hague twarz technika Whittakera.

– Strasznie mnie boli serce, kiedy tak sobie jadę i widzę jak wy musicie zasuwać na piechotę – przez warkot i brzęczenie tankietki przebił się głos Whittakera.

Hague w odpowiedzi również posłał mu szeroki uśmiech, a następnie ścisnął palcami nos, wykrzywiając twarz w zawsze aktualnym odwiecznym wyrazie obrzydzenia, wskazując jednocześnie na tankietkę i powoli ze smutkiem kręcąc głową. Obok niego przetoczyły się dwa wózki holowane przez tankietkę, a za nimi podążała reszta kolumny: Bachmann, lekarz, i jego silny, zręczliwy asystent o nazwisku Sewell; dwóch fotografów, uginających się pod ciężkimi olbrzymimi pakami z wyposażeniem -- Hague zastanawiał się, jak oni w ogóle mogą to unieść; Lenkranz, Johnston, Harker, Szachek, Hirooka, Ellis -- każdy z nich niósł wielki plecak pełen ekwipunku. Wszyscy pozostali mijali go po kolei rzędem, aż w końcu wyruszył także Swenson, wielki technik ze Szwecji, i przesieka pozostała pusta.

Hague odwrócił się, aby popatrzeć na swoją własną grupę. W głowie, oczami umysłu, przeglądał starannie napisaną instrukcję: „Wyposażenie i porządek marszowy lekkiej artylerii polowej”, którą wbił sobie w pamięć razem z, jak się wydawało, tysiącami innych równie starannie napisanych instrukcji w Szkole Artylerii.

Lista znikła mu sprzed oczu i Hague popatrzył na swoich pięciu ludzi, tworzących sekcję artyleryjską. Stali opierając się o karabiny, pochylając się lekko do przodu, aby wygodniej im się trzymało ciężkie nosidła, w których spoczywały ich plecaki oraz rozłożone na części działko pneumatyczne.

– W porządku – opryskliwie rzucił Hague. Desperacko próbował pobudzić swój mózg na tyle, aby wygłosić jakieś zachęcające przemówienie, coś co pozwoliłoby mu pokazać marynarzom, że ich lubi, coś co mógłby powiedzieć komandor. Nie mógł jednak wymyślić niczego, co zabrzmiałoby mądrze, albo uderzyło jakąś błyskotliwą grą słów. W

końcu wymruczał w myślach zniesmaczone przekleństwo, pod adresem swojego pustogłowia, i szorstko polecił:

– No dobrze, idziemy.

Sześciu mężczyzn w milczeniu wyruszyło rzędem, opuszczając przesiekę wyrwaną w lesie przez Rakietę Patrolową Jeden, zanurzając się w wilgotnym mroku pomiędzy ogromnymi pniami, śmiało strzelającymi w górę i stopniowo znikającymi w ciemności. Za ich plecami na opuszczony pokot połamanych drzew wyskoczyło małe, podobne do szczura zwierzę, którego paciorkowate czarne oczka z ciekawością badały leżący rozbity, srebrzysty statek, na wpół pogrzebany w poszyciu lasu.

Chapman, komendant Bazy, zaczął z desperacją grzebać w grubym pliku, złożonym z cieniutkich jak bibułka kartek papieru, ale po chwili opadł z westchnieniem na fotel. Raporty amunicyjne, raporty magazynowe, raporty medyczne, raporty osobowe, raporty z rekonesansów, dzienniki rozmów radiowych, rejestry zapisów radarów, sonarów, piętrzące się zestawy rozmaitych sprawozdań. Na biurku leżały całe ich stosy. Wszędzie na całym statku, sprawni urzędnicy wystrzelili z siebie w tempie karabinu maszynowego, serie nowych, szczegółowych raportów, elegancko wypisanych w trzech kopiach, na cienkim, mocnym papierze.

Popatrzył ponad swoim zawalonym papierami biurkiem na spokojnego zastępcę.

– Tak, Blake, to jest bardzo dobry obraz miejscowych warunków, ale to nie są prawdziwe badania tego terenu. Zanim nie wróci rakiet patrolowa, możemy wysłać tylko te miejscowe głupoty, ale to po prostu nie wystarczy.

Blake wzruszył ramionami.

– To wszystko co mamy. Możemy wysłać z bazy piesze ekspedycje, nawet jeżeli będziemy tracili przy tym ludzi, ale cały materiał jaki będą one w stanie zdobyć, ciągle będzie dotyczył jedynie ściśle zlokalizowanych terenów.

Komendant odszedł od biurka i zaczął spoglądać przez port widokowy na płaskowyż, oraz ponad nim, na splątany pas zarośli, porastających obrzeża nieskończonych bezmiarów lasu tropikalnego, spoczywającego w ponurym spokoju pod kopułą szybko przemykających szarych chmur.

– Problem polega na tym, że zanim wystrzelimy z powrotem na Ziemię naszego zrobotyzowanego kuriera, musimy mieć bardziej obszerny materiał. Ta imponująca góra papierów -- co one zawierają, co one nam mówią? Opisują wspaniałe fizyczny stan tej Bazy i jej zaplecza. Bardzo dobrze opisują teren w odległości dziesięciu mil dookoła Bazy -- ale o tym co jest poza tym obszarem, nie mówią nic. Jeżeli ograniczymy się tylko do tego, to wszystko jest absolutnie doskonale, ale mówimy tu zaledwie o dziesięciu milach, a to zdecydowanie za mało.

Blake błędził nieobecny wzrokiem po stosach śnieżnobiałego papieru. Po chwili nerwowo podskoczył, kiedy z rury poczty pneumatycznej do pojemnika odbiorczego, wystrzelił kolejny pakiet. Zaczął krążyć po pokoju.

– No dobrze, ale co możemy z tym zrobić? Przypuśćmy, że wyślemy te materiały, które mamy teraz. Zmikrofilmujemy je i wyekspedujemy na Ziemię. I co wtedy?

Komendant zaklął zapalczywie, i odwrócił się twarzą do swojego zastępcy.

– Co wtedy? – zaczął dopytywać się gwałtownie. – Czy znowu musimy się w to zagłębiać? Przecież dosłownie w minutę po tym, jak wszystkie inne gałęzie i służby zorientują się, że nie mamy żadnego, nawet wstępnego raportu na temat tej części Wenus, zadudnią bębny wojenne. Siedzący w swoich pancernikach admirałowie i generałowie od bagnetów, natychmiast wezmą się do roboty i zdobędą na tyle silne poparcie opinii publicznej, że Służba Rakietowa Stanów Zjednoczonych zostanie wchłonięta przez inne piony – stara, stara zabawa w politykę militarną.

Blake nerwowo przytaknął.

– Tak, wiem o tym. Dostawalibyśmy tylko ochłapy, pozostałe po budowie pancerników, wyekwipowaniu nowych pułków piechoty i innych tego typu rzeczach. A już z pewnością nie dostalibyśmy tyle pieniędzy, abyśmy mogli prowadzić badania rakietowe na potrzeby eksploracji kosmosu.

– Dokładnie – szorstko wtrącił komendant. – Te rakiety zostaną uziemione w domu. Generałowie i admirałowie będą przysięgać, że sytuacja międzynarodowa domaga się tego, by utrzymywali swoje uzbrojenie w gotowości, w celach obronnych, a to oznaczać będzie koniec naszej roboty.

Rozłożył ręce.

– Musimy wysłać z powrotem porządne, gruntowne sprawozdanie. Coś, co udowodni, że Służba Rakietowa jest w stanie wykonać dobrą robotę, i że jest ona warta włożonej w nią pracy. A dopóki rakiet patrolowa nie wróci do bazy, nie jesteśmy w stanie tego zrobić.

– Okej, dowódco – zawołał Blake, przechodząc przez stalową ramę drzwi, prowadzących na górny korytarz statku-matki. – Przytrzymam Rakietę Kurierską, do czasu kiedy nie otrzymamy wiadomości.

Siedem godzin później, leciutko pojaśniało i nadszedł nowy dzień. Hague i sierżant mieli wczesno-poranną zmianę warty i zaczęli wyciągać pozostałą czwórkę, z niewielkich jednoosobowych namiotów.

Bormann wytoczył się ze swojego, przeciągając się, potężnie ziewając i zaklinając się, że to było nawet gorsze niż wiosenne manewry w Karolinie.

– Lepiej szybko otrząśnij się ze snu – gniewnie warknął Brian. – Za minutkę będziemy mieli gwizdek.

Kiedy rozległ się sygnał gwizdka, zaczęli przypinać sobie nawzajem uprząż do przenoszenia ładunków i szybko wyruszyli w dalszą drogę,

narzekając tylko i pomrukując na przyczepiające się im do ciężkich butów błoto.

Przed południem, cztery godziny później, nie było przerwy na odpoczynek, i maszerowali nieustannie naprzód, przedzierając się przez parną kurtynę uciążliwego gorąca, jedząc w marszu sprasowane racje żywnościowe.

Przeszli w bród niewielki, mocno zamulony, strumień, z pośpiechem pozostawiając za sobą skręcające się w zielonej masie błota jakieś pełzające stworzenia. Ze wszystkich twarzy pot spływał strumieniami, pozostawiając za sobą smugi brudu, przesiąkając przez uprząż plecaków i same plecaki. Szczupły Hurd zaczął się skarżyć, że paski plecaka wcięły mu się w ramiona, dochodząc niemal aż do samego pępka. O godzinie 14.00 zatrzymali się właśnie na pięciominutowy postój, kiedy Hurd przestał marudzić na paski swojego plecaka i zasygnalizował aby wszyscy się uciszyli, pomimo że pozostała piątka za bardzo otuliła się w swoją własną niewygodę, aby cokolwiek mówić.

– Posłuchajcie! Czy pan to słyszy, panie poruczniku? Tak jakby róg? – Zaszuszonego szczurza twarz Hurda, wyteżyła się w wyrazie koncentracji. – Tak jakby, daleko stąd.

Hague przez moment przysłuchiwał się beznamietnie, usiłując przybrać wyraz twarzy, który jak miał nadzieję, mógł uchodzić jednocześnie za inteligentny oraz uspokajający, a następnie stwierdził:

– Niczego nie słyszę. Musiałeś chyba wziąć trochę za dużo prochów na gorączkę, i teraz przez to dzwoni ci w uszach.

– Nie – padła ciężko zde gustowana odpowiedź. – Proszę posłuchać! Teraz buczy znowu!

– Ja też to słyszałem. – To był głos sierżanta Briana, twardy i tnący. Hague żałował, że jego nie brzmi w taki sposób, oraz że nie usłyszał dźwięku przed swoim zastępcą. Cała szóstka przygarbiła się, pochylona do przodu, wyteżając słuch, kiedy porucznik się wyprostował:

– Tak, Hurd. Teraz ja również to słyszę.

Wkrótce zabrzmiał sygnał gwizdka i ruszyli dalej. Hague zauważył, że sierżant zajął posterunek na końcu krótkiego rzędka, i kiedy maszerowali, uważnie obserwował rozciągający się za nimi szlak.

– Jak pan myśli, sir, co to może być? – dopytywał się Bucci piskliwym głosem, który brzmiał tym bardziej dziwnie, że wydobywał się z jego potężnych piersi.

– Bóg tylko wie – odparł Hague, zastanawiając się ile razy jeszcze usłyszy to pytanie w nadchodzących dniach. – To mogło być jakieś zwierzę. Kiedy wyruszaliśmy z Bazy, nie znaleziono jeszcze żadnych śladów inteligentnego życia.

Jednak w trakcie następnych kilku dni, w maszerującej kolumnie narosło uczucie wyczekiwania, tak jakby ich mgliste początkowo podejrzenia, stopniowo wzmocniły się, przechodząc wręcz w stan zbliżony

do ciągłego wypatrywania ataku. Przez kilka dni poruszali się naprzód bez przeszkód.

Hague jako pierwszy dostrzegł stojący plecak, zanim zauważył go któryś z jego ludzi, dziękując swojej gwiazdzie przewodniej, że chociaż raz był nieco bardziej czujny niż jego żołnierze z sekcji artyleryjskiej.

Stelaż plecaka oparty był starannie o jeden z wystających z ziemi korzeni, wspierających pień gigantycznego drzewa i, na podstawie kolekcji buteleczek, poprzipinanych starannymi rzędami po zewnętrznej stronie płótna, Hague wydedukował, że należał on do Bernsteina, entomologa. Oficer zatrzymał grupę i spoglądając głębiej w mrok rozciągający się poza szlakiem, zawołał Bernsteina po nazwisku. Kiedy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, ostrożnie zaczął przesuwając się w głąb cichej ciemności, z gotowym do strzału karabinem. Wyczuł, że sierżant Brian skrada się za jego plecami.

Potem dostrzegł upiorny biały kłęb, zawieszony sześć stóp ponad podłożem lasu. Ruszył w jego stronę, przyciszonym głosem wołając Bernsteina. Niewyraźnie widoczny kłęb delikatnie wibrował, i Hague zauważył, że zwisa on z gigantycznej białej kratownicy o kolistym kształcie, promieniście rozpościerającej się z zielonego mroku, w górze. Uniósł rękę, aby dotknąć podobnej do kokonu rzeczy, odnotowując, że miała ona kształt zbliżony do postaci człowieka, ściśle owiniętego w jakiś gruby wełnisty materiał. W nagłym błysku przeczucia, wyciągnął z pochwy przy pasie nóż, i przeciął włókna w miejscu, w którym powinna znajdować się głowa.

To był Bernstein. Wisiał w jedwabistym wygodnym całunie, huśtającym się delikatnie w mroku. Jego ciemna twarz w gęstym cieniu wyglądała blado. Rysy twarzy były rozmyte i zapadnięte, jakby z ciała entomologa zostały wysrane wszystkie soki, pozostawiając tylko zwiotczałą mumię.

Sztywne białe sznury kratownicy zawibrowały -- coś przemieszczało się po niej w górze. Hague zapalił latarkę i poświecił nią do góry, w ciemność. Zobaczył przyczajonego dwadzieścia stóp ponad głową, olbrzymiego pajaka, delikatnie chwytającego dwiema gigantycznymi nogami sznury swojej kratownicy, tak jakby pajęczyny. Jego bulwiaste, pokryte futrem ciało, mierzyło pełne cztery stopy średnicy. Miriady oczu potwora świeciło jak ogniem, w promieniu latarki Hague, kiedy pajak zaczął uginać nogi, w sposób nieco podobny do gotowej do skoku tarantuli.

Ostry okrzyk Briana, wyrwał Hague z paraliżującego go transu. Rzucił się na ziemię, a karabin Briana ostro trzasnął i olbrzymi arachnid został skąpany w błękitno-białym rozbłysku jasnego wybuchu. Jego ciało poleciało na dół, przez pajęczynę, prosto na leżącego w błocie Hague. Powietrze przeszły szaleńcze ochryple krzyki oficera, próbującego uwolnić się od martwej pajęczej bestii, ale na dźwięk chłodnego głosu sierżanta, zmusił się do spokoju.

– Wszystko w porządku, panie poruczniku. Jest już martwy.

– Okay, Brian. Ze mną też już w porządku.

Głos Hague lekko drżał, i przeklinał swoją słabość i lęki, zmuszając się do spokojnego kroku i nie oglądania się przez ramię do tyłu, dopóki nie

znaleźli się z powrotem na szlaku. Zaprowadził czterech pozostałych artylerzystów z powrotem do miejsca w którym leżał pajak i ciało Bernsteina, wykorzystując je jako ponury przykład, i zwracając im uwagę, aby schodzili ze szlaku wyłącznie w parach. Potem wrócili do męczącego, wyczerpującego dla nóg, marszu wzdłuż mulistego strumienia, oznaczonego przez grupę Clarka. Kiedy tak w tym samym jednostajnym tempie w pocie czoła pokonywali kolejne mile, Hague ciągle wyczuwał milczącą sztywność swoich ludzi i ich grozę na widok stworzenia zabitego przez Briana.

Godziny a następnie dni, mijały i odchodziły w przeszłość, w koszmarze ciężkiego trudu, w trakcie którego brnęli przez błoto i parne gorąco. Codziennie, punktualnie o szesnastej, zaczynały lać zapierające dech w piersiach, potoki siekącego deszczu. Gigantyczne krople zmieniały powietrze w wodną mieszaninę, niemal nie nadającą się do oddychania, uderzały o twarze z taką siłą, że skóra robiła się odrętwiała. Kiedy deszcz raptownie się urywał, powracał upał i z błota przez które maszerowali unosiły się obłoki pary. Ale nie przestawali maszerować, przesuając jedną obolałą nogę przed drugą, walcząc z zasysającą, czarną, klejącą się mazią. Czasami w dobry nastrój potrafiły ich wprowadzić organki Bormanna, i przez jakiś czas byli w stanie śpiewać i rozmawiać między sobą, ale zazwyczaj posuwali się naprzód w milczeniu, z twarzami ściągniętymi zmęczeniem, świecącymi blado w leśnym półmroku. Hague popatrzył na swoje ręce, obrzmiałe, zakrwawione od ukąszeń insektów, obolałe i zeszywniałe. Zastanawiał się, czy będzie jeszcze w stanie zgiąć palce dookoła przydziałowej miski jedzenia, na wieczornym postoju.

Hague poruszał się otępiały jak lunatyk, na tyle swojej niewielkiej kolumny, przysłuchując się płomiennej tyradzie Bormanna, dotyczącej tego, czego może spodziewać się jego dziewczyna, kiedy ponownie się z nią zobaczy. Bucci, zwalnając od czasu do czasu, aby poprawić sobie element działka pneumatycznego, zwisający mu na ramieniu, rozgadał się w ekstatycznym opisie swojej małej Wilmy. Tych dwóch, właśnie się ożeniło, tuż przed startem ekspedycji z pustyni Arizony i jej wylotem w kierunku Wenus. Na przedzie kolumny szedł Crosse, i nagle na tył dobiegł jego nosowy głos:

- Hej, panie poruczniku, ktoś tam siedzi, obok szlaku.
- Okay. Przystanek. – Porucznik zaklął zmęczonym głosem i potruchtał w stronę Crosse. – Gdzie?
- Tam. Opiera się o ten wielki korzeń.

Hague ruszył do przodu, z karabinem gotowym do strzału, i wiedział, nawet bez patrzenia, że sierżant Brian był u jego boku, chłodny i samowystarczalny, jak zwykle.

- Kto tam jest? – wychrypiał oficer.
- To ja, Bachmann.

Hague machnięciem ręki wezwał swoją grupę do przodu, i zebrali się niewielkim kołem wokół doktora, który spokojnie siedział koło szlaku, oparty plecami o wystający korzeń.

– O co chodzi, Doc? Chciałeś się z nami zobaczyć?

– Nie. Sewell chyba uważa, że wszyscy jesteście zdrowi. Niestety główna grupa nie jest w takim dobrym stanie. Mnóstwo kłopotów z gorączką. No i Bernstein, oczywiście, zginął.

Hague przytaknął mu i przypomniał sobie, że złożył komandorowi raport na temat śmierci Bernsteina, trzy noce wcześniej.

– A co z komandorem? – spytał lekarza.

Anielska twarz doktora pociemniała.

– Niezbyt dobrze. Nie jest już młody, i ten upał oraz piesza wędrówka, doprowadzają jego serce do ruiny. Ale nie chce jechać na tankietce.

– No dobrze, chodźmy już, Doc. – To był głos Briana, wcinający się jak nóż w świadomość Hague. Doktor wyglądał na zmęczonego i pozbawionego energii.

– Idźcie dalej, chłopcy. Ja mam zamiar tu sobie chwilę posiedzieć. – Podniósł wzrok i uśmiechając się niewyraźnie, popatrzył na zdumione twarze otaczających go ludzi. Jego oczy były jednak ponure i zdeterminowane.

– Ja już doszedłem do końca swojej drogi. Ukąszenie węża. Wszystkie nasze surowice przeciwjadowe, zdają się nie działać. Jedyne co można by zrobić, to amputacja, a my nie możemy sobie pozwolić na transport kolejnego chorego człowieka. – Ściągnął nylonową owijkę z jednej nogi, która trzymał podkurczoną pod siebie, pod niewygodnym kątem. Nagie ciało było czarne, obrzmiałe i czuć było od niego zapach gangreny. Młody Crosse odwrócił się w drugą stronę, i Hague usłyszał jak wymiotuje.

– A co powiedział komandor?

– Zgodził się, że to będzie najlepsze rozwiązanie. Przecież i tak w końcu umrę.

– Czy... Czy będzie ci tutaj dobrze? Nie chcesz, żebyśmy poczekali tu razem z tobą?

Uśmiech doktora robił się coraz słabszy, i otarł strumyczki potu, spływające smugami po jego wybrudzonej błotem twarzy.

– Nie. Mam śmiertelną dawkę trucizny w tabletkach i zastrzyk. Wszystko będzie w porządku. Sewell wie co ma robić. – jego okrągła twarz wykrzywiła się. – A teraz, na miłość Boską, idźcie już sobie i pozwólcie mi wziąć tę tabletkę. Ból zaczyna doprowadzać mnie do szaleństwa.

Hague wydał krótki rozkaz i ruszyli w swoją drogę. Nieco dalej na szlaku, odwrócił się, żeby pomachać ręką doktorowi Bachmannowi, ale mały człowieczek był już zupełnie niewidoczny w cieniu drzew.

Dziesiątego dnia po katastrofie Rakiety Patrolowej Jeden, mniej oficjalnie znanej jako Puszka Po Konserwach, nad szlakiem który wytyczyła drużyna Clarka pojawiły się sporadyczne dziury w sklepieniu drzew, pozwalające od czasu do czasu dostrzec jasne niebo. Po pewnym

czasie Hague i jego ludzie nagle znaleźli się na pustej, pozbawionej drzew przestrzeni, na której niskie, gęste pnącza walczyły zażarcie o życie z bujnymi krzewami o mięsistych liściach. Obok szlaku, czekając na ich nadejście, stał znużony Balistierri, zoolog, ciemnoskóry mężczyzna który zawsze był szczupły jak słomka, a obecnie wyglądał jak cień człowieka. Kiedy zatrzymali się obok niego, podkrążonymi ze zmęczenia oczyma pobieżnie ocenili charakterystyczne szczegóły krajobrazu polany. Hague jęknął w duchu, widząc że była to zaledwie przesieka w lesie, a wielkie drzewa strzelały w górę już sto jardów dalej. Balistierri złapał Hague za ramię i wskazując na grubą kotarę zieleni, uśmiechnął się.

– Popatrzcie tylko na to.

Dmuchnął w trzymany w ręku gwizdek, wydobywając z niego ostry świst, i czekał. Hague wraz z artylerzystami, obserwowali to mocno zdziwieni. Nagle usłyszeli srebrzysty, podekscytowany trel, trzepotanie skrzydeł i w przetykane złotem słonecznego blasku powietrze wzleciały dwa wielkie ptaki. Machnęły kilka razy skrzydłami, szeroko je rozpostarły, i szybując wzbijały się coraz bardziej w górę, zataczając koła ponad gromadką wybrudzonych ziemią ludzi -- dwa duże białe ptaki otoczone grzebieniami ognistego złota, ze śnieżnobiałymi piórami lekko cieniowanymi różowymi barwami. Kiedy unosiły się ponad polaną, w złocistej poświacie przebijającego się przez chmury słońca, ich nawoływania brzmiały jak dzwonki.

– One są... one są jak anioły. – To był Bormann, zawzięty młody sentymentalista.

– Właśnie nadałeś im nazwę, żołnierzu – uśmiechnął się Balistierri. – Próbowałem znaleźć jakieś właściwe słowo na ich określenie, ale ta nazwa jest lepsza od wszystkiego, co mi przychodziło do głowy. Niech więc będzie Anioły Bormanna. Po łacinie, oczywiście.

Rozpościerające się przed nim perspektywy wiecznej chwały zoologicznej, pozbawiły Bormanna mowy i zabarwiły jego twarz na czerwono. Przerwał to sierżant Brian.

– Wydaje mi się, że to one mogły wydawać te dźwięki podobne do rogu. Jak pan myśli, poruczniku? – Jego suchy i nieco patronizujący ton, sugerował, że według niego całe to wydarzenie było tylko zwykłą stratą cennego czasu, który lepiej byłoby poświęcić na dalszy marsz.

– Trudno powiedzieć, sierżancie – odparł Hague, próbując usunąć ze swojego głosu niechęć, ale czar chwili został już złamany. Wraz z towarzyszącym mu Balistierrim, oficer artylerii Hague, wrócił z powrotem na szlak marszu, wypalony i wycięty w rozpasanym i zachłannym kobiercu szaty roślinnej leśnej polany.

Kiedy maszerowali przez wolną od drzew przestrzeń, Bucci potknął się i przewrócił jak długi w błoto. Gdy próbował się podnieść, pnącze, o które zahaczył nogą, pochwyciło go zdrewniałym pędem, który owinał się mocno wokół jego kostki, na podobieństwo węża. Z bladymi twarzami reszta ludzi uwolniła go, tnąc węzowate stworzenie na kawałki, przypiętymi do pasów nożami. Zabandażowali mu rany po cierniach na nodze i ruszyli w dalszą drogę.

Polana miała jednak do wyjawienia jeszcze jeden sekret. Oko Briana pochwyciło jakiś ruch na skraju lasu i machnął ręką na Hague, który ruszył za nim z niepewnością, ponieważ sierżant prowadził go poza szlak. Brian w milczeniu pokazał ręką i Hague zobaczył Didricksona, sierżanta dowodzącego służbami zaopatrzenia, siedzącego w zabarwionym na cytrynowo świetle słonecznym na skraju lasu, z otartą paczką żywności pomiędzy nogami, z której wyciągał coś i przełykał łapczywie, pożerając to jak dziki wilk.

– Didrickson! Sierżancie Didrickson! – krzyknął porucznik. – Co pan robi!

Zaopatrzeniowiec obejrzał się w ich stronę, i Hague już po twarzy człowieka, wiedział co się stało. Sierżant przykucnął ostrożnie, z dzikimi, wypełnionymi paniką oczyma i luźno zwisającą szczęką jak u kretyna. To był Didrickson, ten stateczny, efektywny człowiek, jeden z zasiadających przy stole na mapy, tej nocy kiedy rozpoczął się marsz. Był jedynym człowiekiem, którego Devlin uznał za wystarczająco kompetentnego i pozbawionego nerwów, aby zarządzać zapasami żywności. To był ten sam Didrickson, tylko że obecnie bardziej szalony niż marcowy królik. Żołnierz szybko porwał paczkę z jedzeniem, wpatrując się w nich z dzikim przerażeniem i zaczął uciekać wzdłuż szlaku, drogą którą już pokonali.

– Wracaj, Didrickson! Ta żywność będzie nam potrzebna, ty głupcze!

Obłąkaniec roześmiał się szaleńczo na dźwięk głosu oficera. Stał, na chwilę obejrzał się do tyłu, odwrócił się z powrotem i ruszył biegiem.

Sierżant Brian, jak zawsze był już gotowy. Jego karabin trzasnął i wybuchowy pocisk przeciął ciało uciekającego człowieka, niemal na pół. Brian w milczeniu zabrał paczkę z jedzeniem i przyniósł ją z powrotem do Hague.

– Panie poruczniku, czy chce pan ją zostawić u nas, czy mam to zanieść do głównej grupy?

– Zatrzymamy ją u nas, sierżancie. Sewell może ją zabrać wieczorem, po naszym obchodzie medycznym. – Głos Hague lekko drżał i wyrzucał sobie gwałtownie, że nie ma dostatecznie silnych nerwów, aby przejść do porządku dziennego nad tym szybkim wyrokiem śmierci. Przestępstwo Didricksona było zagrożeniem dla wszystkich członków grupy, i sierżant miał rację, że go zastrzelił. Ale kiedy nadejdzie podobna chwila -- podczas której być może nie będzie u jego boku sierżanta -- to czy on, Hague, zareaguje równie szybko i zimno, tak jak powinien to zrobić oficer, zastanawiał się uporczywie?

– No dobrze chłopcy, idziemy dalej – powiedział i obsługa działka, z zaciśniętymi ustami, zanurzyła się ponownie w ciche, ciemne leśne korytarze.

Rozdział II

Technik z działu łączności Harker, pociągnął głęboki łyk z kubka pełnego parującej kawy, zamrugnął mocno, aby ustabilizować pływające mu przed oczyma tarcze przyrządów, i zapalił papierosa. W centrum obserwacyjnym Odyseusza, nigdy nie panowała zupełna cisza, nawet teraz, podczas psiej wachty, kiedy wszędzie indziej na pokładzie wielkiego statku, światła były maksymalnie przykręcone. Tutaj, w miłym schludnym pomieszczeniu, pod każdą ze ścian piętrzyły się stosy sprzętu sygnałowego, złożonego z zestawów błyszczących tarcz, mierników, przewodów wysokiej mocy, czarnych paneli, i skomplikowanej płataniny kolorowych drutów. Sonar nieustannie sennie pomrukiwał, ekrany radarów mrugały kapryśnymi deseniami szumów zakłóceń, a brzęczek ostrzegawczy cicho popiskiwał, kiedy odbite promienie radaru przynosiły z powrotem do odbiorników hałasy dziwnych oddziaływań planetarnych, których nie potrafiły wytłumić wbudowane w radar filtry. Technicy bazy nie byli w stanie określić co powodowało te zakłócenia, jednak paraliżowały one praktycznie całą łączność radiową, na wszystkich pasmach częstotliwości, i nawet sygnały radarowe otaczała chmura szumów.

Papieros oparzył go w końce palców i Harper szarpnął się, obudzony. Próbował skoncentrować się na pisanim do domu liście. Miał go potem zmikrofilmować i wysłać następną rakieta kurierską. Ruch w drzwiach Kabiny Obserwacyjnej spowodował, że Harper uniósł wzrok do góry i zobaczył stojącego tam szczupłego, siwowłosego, komendanta Chapmana.

– Dobry wieczór, sir. Proszę wejść do środka. Właśnie mam gotową kawę. – Technik łączności zdjął czajnik stojący pod ręką na rozgrzanym piecyku i przygotował kolejny kubek.

Komendant uśmiechnął się ze zmęczeniem, przysunął sobie mały metalowy stołek i usiadł przy niskim stole, naprzeciwko Harkera, ostrożnie popijając gorącą kawę. Po chwili uniósł głowę do góry.

– Jakies dobre nowiny, Harker? Złapałeś może coś?

Harker przeczesał sobie palcami grzywę czarnych włosów i wykrzywił twarz w grymasie.

– Nawet jednego piśnięcia, sir. Ani na pasmach radiowych, ani na radarze. Oczywiście, zakłócenia mogą je tłumić. Również na ekranach radarowych wytwarzają mnóstwo fałszywych sygnałów. Ale nie możemy ich złapać nawet na sonarze dalekiego zasięgu. Te sygnały powinny przechodzić. Tak, jesteśmy naprawdę poważnie przekonani, że się rozbili.

– A co z naszymi sygnałami, Harker? Jak myślisz, czy one do nich docierają?

Harker odchylił się mocno do tyłu, zadowolony, że może objaśniać komuś rzeczy ze swojej specjalności.

– No cóż, wysyłamy sygnały radiowe co godzinę, o pełnej godzinie, a radiowe komunikaty głosowe, co godzinę o każdej połowce godziny. Wysyłamy ciągły kierunkowy sygnał sonarowy, dla ich urządzeń pozycjonujących i namierników kierunku. To w zasadzie wszystko co możemy zrobić. Co do odbioru tego co wysyłamy, to nawet zakładając, że ich rakieta rozbiła się i uległa całkowitemu zniszczeniu, ciągle jeszcze mają radio w swojej tankietce. Tam jest zarówno nadajnik jak i odbiornik. Ponadto mają przenośny zestaw sonarowy, jedno z tych małych, dwudziestofuntowych, opancerzonych urządzeń detekcyjnych. Będą go używać do określania kierunku.

Chapman zawirował kawą pozostałą na dnie kubka i z zamyśleniem wpatrywał się w nią.

– Jeżeli mogą odbierać wiązkę dźwiękową, to dlaczego nie wyślemy im komunikatów na tym sygnale? Wiesz, włączając go i wyłączając, alfabetem Morse’a?

– Przy tak małym detektorze jak ich, to nie będzie działać, sir. Mając duży zestaw, taki jak ten tutaj, moglibyśmy przesłać im wiadomość, ale ten sprzęt, który mają oni, mógłby się przy tym spalić. Ma ograniczoną moc wbudowanej w środku baterii zasilania silnika, która musi przełamywać początkową rezystancję prądową na siatkach, zanim prostowniki przekształcą sygnał w słyszalny dźwięk. Kiedy zestaw działa bez przerwy, ubytek mocy jest niewielki, ale jeżeli zaczniemy zmieniać natężenie wiązki kierunkowej sygnału, to bateria będzie musiała przełamywać rezystancję siatek kilkaset razy dla każdego wysłanego krótkiego sygnału. To musiałoby spalić ich urządzenie w przeciągu kilku godzin.

Wzruszył ramionami.

– To działa trochę tak, jak suwak puzonu. Jeżeli przesunie się suwak kawałek do przodu, to otrzymuje się wibrującą powoli kolumnę powietrza, której drgania słyszalne są jako niski ton, tyle tylko że na sonarze ten dźwięk może być bardzo krótki. Jeżeli przesunie się suwak do tyłu, to drgania stają się coraz szybsze, i dają wyższe tony. Zestaw sonarowy, w szczycie, wibruje tak szybko, że sygnał jest niemal statyczny i przepływ prądu jest faktycznie ciągły. Ale nieustanne uruchamianie i wyłączanie urządzenia, spowoduje, że wibratory nie będą nigdy miały nawet szansy osiągnięcia normalnego szczytu, i przepływ energii będzie przerywany przy każdej wibracji w odbiorniku -- a w kilka godzin później, taki receptor dźwiękowy staje się zwykłą kupą złomu.

– W porządku, Harker. Twoje wywody są nieco mgliste, ale łapię ogólną ideę, dlaczego moja sugestia nie była specjalnie przydatna. No dobrze, w takim razie jeżeli tylko przez tę zupę przebiją się jakieś sygnały, to ktokolwiek by wtedy był na służbie, ma natychmiast mnie wezwać.

Komendant odstawił kubek, powiedział dobranoc, i wyszedł na cichy korytarz. Harker wrócił do swojego listu i przeżuwał usilnie koniec ołówka, groźnie marszcząc brwi w rozgorączkowanej agonii tworzenia. To był list do jego dziewczyny, i musiał być dobry.

Przez dach koron drzew zaczęła opadać noc i podkradać się coraz gęstszym zmrokiem wzdłuż błotnistych katedralnych naw pomiędzy filarami ogromnych pni. Hague z nadzieją nasłuchiwał sygnału na postój z tankietki. Powinien nadejść w każdej chwili. Martwił się o Bucciego, który śmiał się i gadał jak nakręcony, i oficer sądził, że musiał go dopaść atak gorączki. Ciemnowłosy, muskularny kanonier nieustannie opowiadał o swojej żonie, w taki sposób, że można było uznać to niemal za bezładną paplaninę. W pewnej chwili zatoczył się i nieomal upadł, tak że Hurd wziął od niego lufę działka pneumatycznego i niósł ją dalej na swoich własnych barkach. Wszyscy nasłuchiwali już z wyczekiwaniem klaksonu czołgu kiedy wieczorną ciszę przeciął potężny ryk, rozdzierając ją na strzępy mieszających się ech i budząc burzę wystrzałów, które zerwały się gdzieś z przodu.

Ponownie rozległ się ryk, metaliczny i ostry, jakby jakaś lokomotywa wpadła w amok. Do tyłu popłynęły krzyki, odgłosy eksplozji naboju wybuchowych, i huk tak jakby mocnych uderzeń.

– Brian, przejmujesz dowodzenie! – ostro rzucił Hague. – Crosse, Hurd – idziemy!

Trzech mężczyzn pobiegło do przodu, zataczając się w śliskim i ciągnącym się błocie. Okrążyli zakręt szlaku, szybko złożyli i ustawili na pozycji działka pneumatyczne. Hurd zajął miejsce celowniczego, Crosse jako ładowniczy, a Hague ślizgając się w szlamie, zatrzasnął pas amunicyjny w urządzeniu podającym.

Przed nimi, dalej na szlaku, paliły się dwie flary alarmowe, które ktoś rzucił wcześniej, tworząc scenerię jaskrawej fotograficznej fantazji, złożonej z białego światła i czarnego jak atrament cienia. Rozgrywała się na niej istic dantejska scena. Jeden z wózków na zapasy, leżał na boku, a ludzie uciekali na wszystkie strony. Tankietka również została przewrócona na bok i kręciła się, mieląc gąsienicami, a nad nią górowało olbrzymie ryczące stworzenie. Jaszczur, czy też dinozaur, miał dobre trzydzieści stóp wysokości, pokryty był cały szarymi łuskami. Podobnymi do dłoni szponami przednich łap, złapał jakiegoś człowieka. Opancerzony łuskami ogon walił raz za razem w czołg, z siłą kafara do wbijania pali. Dookoła trzaskały wybuchowe pociski, eksplodując na piersi zwierzęcia błękitno-białymi rozbłyskami światła. Nie przeszkadzało mu to jednak rozdzierać na strzępy, wijącego się w jego szponach, małego jak karzełek, człowieka. Białe kły połyskiwały jak szable, kiedy z pyska stworzenia wydobywały się kolejne ryki ślepej wrogości.

– Jest cel – doleciał do niego napięty i przyciszony głos Hurda.

– Załadowane – to był Crosse.

– Ognia! – krzyknął Hague i wsuwał naboje APX, w miarę jak działko kaszało i wypluwało z siebie przeciwpancerne pociski wybuchowe, prosto w olbrzymią bestię. Hague zobaczył, że wieżyczka tankietki obraca się do góry, kiedy Whittaker próbował wprowadzić do akcji również swoje działko, ale miażdżące uderzenie potwornego ogona odrzuciło lufę do tyłu,

z nieprzyjemnym traskiem. W tym momencie w ciało zwierzęcia uderzyła seria pneumatycznych pocisków, wybuchając w jego wnętrznościach. Wielki pokryty szarą skórą tułów został odrzucony ze szlaku z jedną stroną, podczas gdy głowa rozerwanego na pół gada plasnęła w pień drzewa po drugiej.

– Dobre strzały, Crosse – chrząknął Hague. – Wracaj z Brianem. Trzymaj działko w gotowości. To stworzenie mogło mieć partnerkę. Pobiegnij w stronę głównej grupy, wpadając w strefę oświetloną przez palące się flary.

– Gdzie jest Devlin?

Clark, oficer nawigacyjny, stał z niewielką grupką ludzi koło rozbitego wózka z zapasami.

– Tutaj, Hague – zawołał go. Oczy miał mocno zapadnięte, a jego twarz była dużo starsza, niż parę dni temu, kiedy Hague widział go po raz ostatni. – Devlin nie żyje, został przyciśnięty pomiędzy wózkiem a pniem drzewa. Straciliśmy dwóch ludzi, komandora Devlina i Ellisa, specjalistę od badania gleby. To ten, który został zjedzony. – Skrzywił się.

– A więc, zostało na dwudziestu trzech? – dopytywał się Hague, próbując by jego głos zabrzmiał swobodnie.

– Zgadza się. Nadal będziesz krył nasze tyły. Te dźwięki rogów, które zgłaszałeś wcześniej, bardzo martwiły Devlina w kontekście ataku od twojej strony. Ja zostanę z czołgiem.

Kiedy Hague wrócił do swojej grupy, sierżant Brian ze stoickim spokojem podgrzewał na zestawie kuchennym gulasz z przydziałowych racji, podczas gdy reszta marynarzy usiadła wokół niego w zamkniętym kręgu, po kolei nerwowo to odwracając się do tyłu i spoglądając na las, to wachając apetyczny zapach, który unosił się z mikstury Briana. Nie było tego za dużo, jak na nich wszystkich, ale jedzenie było gorące i bardzo pożywne, a po wypaleniu potem papierosa i napiciu się kawy, powinni chociaż przez chwilę poczuć się miło i wygodnie.

Crosse siedział na szarej metalowej rurze podajnika, którą nosił przez cały dzień, przytrzymując dłonią hełm, oparty na kroczu, i popatrzył pytająco na porucznika.

– No i jak, sir, czy ktoś nie został ranny? Czy czołg jest zniszczony?

Hague usiadł w kręgu, wciągnął zapach gulaszu z głośnym entuzjazmem i popatrzył po kręgu.

– Nie żyją komandor Devlin i Ellis. Jeden z wózków bagażowych został rozbity, ale czołg jest w porządku. Jaszczur zaatakował przede wszystkim czołg. Balistierri sądzi, że mamy teraz okres godowy tych jaszczurów, a ten musiał sobie pomyśleć, że czołg to inny samiec, i próbował z nim walczyć. Potem został chwilę na lunchu, i wtedy go dostaliśmy. Dowodzi teraz porucznik Clark.

Pomarańczowa poświata zestawu kuchennego Briana, malowała dziwne cienie na otaczających go, pełnych napięcia twarzach, i Hague próbował chociaż trochę je rozjaśnić.

– Czy uczyni pan nam tę grzeczność, i zagra jedną ze swoich niepowtarzalnych kompozycji na organki, maestro Bormann?

– W tej chwili nie mogę, sir. Owijam bandażem skrzydło Helen. – Wyciągnął coś w palcach swojej dłoni, a poświata piecyka lśniła na jego wilgotnych czarnych oczach. – Ona jest jak mały ptaszek, tylko nie ma piór. Widzi pan? – Umieścił w dłoni Hague bryłkę ciepłego ciała. – Na skrzydłach ma tylko skórę, jak nietoperz. Poza tym, zbudowana jest tak jak ptak.

– Powinieneś pokazać to Balistierriemu, a może nazwie specjalnie dla ciebie również i to stworzenie.

Prosta twarz Bormanna rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

– Właśnie tak zrobiłem, sir. Od razu na południowym postoju, kiedy ją znalazłem. Dostała nazwę od imienia mojej dziewczyny. „Helen Bormanna”, tylko że po łacinie. Helen ma złamane skrzydło.

Kiedy jedli, znowu słyszeli dźwięki rogu. Czarne oczy Bucciego rozjaśniała gorączka, a jego skóra zrobiła się ciepła i sucha. Zadrapania pozostawione przez pnące na jego nodze, brzydko się zaogniły, i kiedy reszta zaczęła śpiewać, on tylko siedział w milczeniu. Kołyszący dźwięk harmonijki ustnej Bormanna wypełnił muzyką ciche leśne ścieżki, odbijając się echem od wielkich drzew. A kiedy Hague drzemał później w swoim małym namiocie, słyszał we śnie dźwięki rogu, w otoczce melodii granej na organkach.

Minęły dwa dni taplania się w szlamowatym zielonym mule. Na południowym postoju, Sewell przyniósł im wiadomość, żeby zachować ostrożność, ponieważ tego ranka przy sprawdzaniu obecności nie zgłosił się jeden z ludzi. Obsługa działka podzieliła pomiędzy siebie wyposażenie Bucciego i kuśtykał on w środku grupy, na kulach zaimprovizowanych z resztek wózka przewożącego racje żywnościowe. W pewnej chwili, Crosse, który nieustannie rozglądał się na wszystkie strony, jak doświadczony, ciekawski szczur, wyrzucił w górę ramię, w bezsłownym sygnale do zatrzymania się. Hague poszedł w głąb lasu, aby zbadać sprawę, z wiecznie obecnym Brianem, poruszającym się tuż za nim z ostrożnością i cichą sprawnością, zwierzęcia z dżungli. To był Romano, jeden z dwóch fotografów. Leżał zwinięty, jak worek wilgotnych szmat, w mroku dwóch wystających z ziemi, podpierających drzewo korzeni. Należący do niego aparat Hasselbladta leżał pod jego ciałem, przygniatając niewielką roślinę, którą musiał fotografować.

Z karku Romano wystawał błyszczący trzonek strzały o długości dziewięciu cali, piękna rzecz ze świecącego, podobnego do brązu metalu, smukły belt z delikatnie wykutym ostrzem z brązu. Brian wyszedł zza pleców Hague, pochylił się nad ciałem i wyciął z niego strzałę.

Przyjrzeni się jej dokładnie i kiedy Brian się odezwał, Hague zaskoczyło, że tym razem nawet ten twardy jak skała sierżant, przemówił przyciszonym głosem, podobnego rodzaju jak używany przez chłopców, kiedy przechodzą nocą przez cmentarz i nie chcą przyciągać niepożądaną uwagę.



– Wygląda jakby wystrzelono ją z dmuchawki, panie poruczniku. Proszę tylko spojrzeć na tę zatyczkę z tyłu. Musi być zatruta. Nie jest na tyle duża, aby mogła go zabić w jakiś inny sposób.

Hague chrząknął, zgadzając się z nim, i obaj cofnęli się po własnych śladach.

– Brian, przejmij dowodzenie. Crosse, chodź ze mną. Musimy zgłosić to Clarkowi. Pamiętajcie, żeby od tej pory nosić pancerze osobiste, a kiedy schodzicie ze szlaku, robić to tylko parami. Załóżcie Bucciemu jego płyty.

Bormann i Hurd położyli niesione ładunki na ziemi i kiedy Hague ich zostawiał, zaczęli zapinać na piersi i na plecach, słabo protestującemu Bucciemu, płyty jego pancerza.

Komendant Chapman wpatrywał się w krąg otaczających go twarzy. Dowódcy sekcji wypełnili niemal całkowicie jego małe, kwadratowe biuro.

– No dobrze, a więc jakie mają szanse?

Bjornson, dowodzący sekcją techniczną, spoglądał na Chapmana pewnym wzrokiem.

– Mogę ręczyć za Devlina. Nie jest oficerem trzymającym się dokładnie litery regulaminu, ale właśnie dlatego rekomendowałem go na dowódcę tej

ekspedycji. Jest najlepszy w sytuacjach nadzwyczajnych, podczas których musi polegać na swoim własnym rozumie. On ich przez to przeprowadzi.

Artylerzysta Branch z kolei stwierdził:

– Nie wiem za wiele o Hague. Jest młody, jeszcze niewypróbowany. Wydawał się trochę za mało pewny siebie. Może poddać się nastrojowi paniki i stać się bezużytecznym. Wysłałem go, ponieważ nie miałem nikogo innego, chyba że ja sam bym wyruszył.

Komendant szorstko odchrząknął.

– Wiem, że chciałeś lecieć z nimi, Branch, ale nie możemy wysłać w takie misje, oficerów zajmujących kierownicze stanowiska. A w każdym bądź razie, jeszcze nie. Z co z Clarkiem? Czy mógłby w razie czego przejąć zadania Devlina?

– Clark powinien dać sobie z tym radę – powiedział kapitan Rindell z sekcji naukowej. – Lubi kierować się regulaminem, ale to silny charakter. Gdyby coś się stało Devlinowi, on również sprowadzi ich do domu.

– Hmmmm... to pozostawia tylko Hague, jako jedyne słabe ogniwo w łańcuchu dowodzenia. Młody człowiek, jeszcze niewypróbowany. Oczywiście, on jest tylko młodszym oficerem. Nie ma żadnego sensu debatować nad tym na próżno, ale muszę wam szczerze powiedzieć, że jeżeli ci ludzie nie przedrą się do nas, przynosząc swoje rejestry, zanim będziemy musieli wysłać na Ziemię kolejną rakietę kurierską, to Służba Rakietowa Stanów Zjednoczonych, jest skończona. Ta próba zostanie zapisana na nasze konto, jako porażka. Cały projekt zostanie całkowicie porzucony, a my otrzymamy rozkazy powrotu na Ziemię, aby służyć tam jako element sił zbrojnych.

Bjornson wyrżał przez okno portu kosmicznego, na położony sto stóp niżej, wysypany żużlem plac inspekcyjny.

– Dlaczego jest pan taki pewny, że Służba Rakietowa stoi wobec bezpośredniego zagrożenia likwidacją?

– Ostatnia rakietą kurierską przywiozła poufną notatkę od Sekretarza Dougherty'ego. Dużo mówi się o niewykluczonej wojnie i inne gałęzie Sił Zbrojnych szukają możliwości wzmocnienia zasobów swojego uzbrojenia. Żądają odpowiednich pieniędzy i powiększenia zapasów magazynowych, kosztem naszych wydatków. Musimy pokazać, że wykonujemy dobrą robotę, pokazać Rządowi wymierne korzyści, w postaci odpowiednich raportów na temat powierzchni Wenus, jej ziem i dostępnych surowców.

– A co z helikopterami? – spytał Rindell. – Przywiozły przecież trochę dobrych materiałów, które można wykorzystać w raportach.

– Tak, ale przy obsadzie zaledwie czterech ludzi, nie mogą zrobić wystarczająco dużo.

Branch wtrącił się sucho:

– Wszystko co nam zostało, jak widzę, to tylko wyglądać z nadzieją ich powrotu. Rakietą już dawno musiała wyczerpać swoje zapasy paliwa. Minęło już ponad dziesięć tygodni odkąd wylecieli z Bazy.

– Zakładając, że maszerują lądem, Boże zachowaj, będą mieli tylko sonar i radio, tak? – odezwał się Bjornson. – Dlaczego więc nie utrzymywać przez cały czas działania naszego klaksonu? To bardzo słaba nadzieja, ale musimy próbować wszystkiego, co się da. Moja sekcja przez

cały czas utrzymuje obsługę urządzeń nasłuchujących, kontynuujemy emisję wiązki sonarowej, wysyłamy co trzydzieści minut komunikaty radiowe. Jeżeli dodamy do tego jeszcze klakson, to będziemy robić wszystko co jest w naszej mocy. Wątpię, czy jakiegokolwiek żywe stworzenie może podejść na odległość mniejszą niż dwadzieścia mil, nie słysząc tego klaksonu, albo tak byśmy my nie usłyszeli go na nasłuchiwach.

– No dobrze. – Komendant Chapman popatrzył pozbawionym nadziei wzrokiem na nowy plik raportów, przyginający jego biurko. – Wyślijcie wyprawy naziemne w obrębie granicy dziesięciu mil, ale pamiętajcie, że nie możemy pozwolić sobie na tracenie ludzi. Kiedy helikoptery wrócą do bazy, wyślijcie obydwu na Zachód. – Zachód, oznaczało po prostu w kierunku zachodnim od Południka 0, wyznaczanego przez miejsce lądowania rakiety-matki. – Nie działają zbyt wiele w poszukiwaniach nad tymi lasami tropikalnymi, ale musimy przynajmniej spróbować. Może uda im się złapać jakieś komunikaty radiowe.

Chapman, zręcząc w duchu, wrócił do swoich raportów, a pozostali po kolei wyszli rzędkiem z biura.

Rozdział III

W nocy, podczas warty, Hague wszędzie dookoła widział tysiące potworów, zaludniających egipskie ciemności lasu. Ale kiedy zapalał swoją latarkę i świecił nią w ciemność, nie było tam zupełnie niczego. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie w stanie wytrzymać wyczekiwanie, zanim się załamie jak sierżant zaopatrzeniowy Didrickson, i koledzy będą musieli rozwalić go pociskami wybuchowymi. Powinien być taki jak Brian, twardy, pewny siebie, i zawsze robić właściwe rzeczy, postanowił sobie. Ukończył Szkołę Artylerii, a następnie przeszedł krótkie szkolenie w nowo sformowanej Służbie Rakietowej Stanów Zjednoczonych. Potem ekspedycja na Wenus -- powiedzieli mu jest szansa pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, i ze wszystkich ochotników, wybrano właśnie jego. A kiedy przygotowywano start pierwszej wyprawy z Obozu Bazy na Wenus, znowu został wybrany. Dlaczego, zaklął z desperacją. No pewnie, że chciał lecieć, ale jak jego dowódcy mogli pokładać w nim taką wiarę, kiedy on sam nie znał siebie na tyle dobrze, aby wiedzieć, czy zdoła to wszystko ciągnąć dalej.

Jakieś szmery na szlaku automatycznie szarpnęły jego karabin w pozycję gotowości do strzału, i zawołał pełnym napięcia głosem:

– Stać!

– Okej, Hague. Tutaj Clark i Arndt.

W świetle latarki Hague pojawili się żylasty, mały oficer nawigacyjny i szczupły, wręcz wychudzony, geolog Arndt. Ten drugi ciągle miał rękę na temblaku.

– Jakieś kolejne rogi, albo strzały? – Głos Clarka był nerwowy i przybity. Hague zreflektował się, że być może i jego również zaczyna chwytać napięcie.

– Nie, ale stan Bucciego pogarsza się. Nie możecie zabrać go na wózek?

– Hague, mówiłem ci już chyba ze dwadzieścia razy. Ten wózek jest pełny i już teraz niemal się załamuje. Wbij sobie do głowy, że obecnie nie możemy już myśleć o żadnym z ludzi z osobna, tylko o całej grupie. Jeżeli ktoś nie może maszerować, musi zostać, albo wszyscy razem tutaj zginiemy! – Jego głos zabrzmiał gwałtownie, i kiedy próbował zapalić papierosa, ręka mu się trzęsła. – W porządku. Wiem, że to morderstwo, i nie podoba mi się to ani trochę bardziej, niż tobie.

– Co więc zrobimy? Jaki jest obraz całości! – Obaj oficerowie próbowali lekko się uśmiechnąć, na wspomnienie tej pompatycznej krótkiej frazy, ulubionej pewnego gaduły, pod którym służyli.

– Nie jest dobrze. Zostało nas teraz tylko dwudziestu dwóch.

Po chwili kontynuował z większą nadzieją w głosie.

– Hirooka sądzi, że wkrótce możemy znaleźć się w zasięgu radia z Bazy. Chociaż, przy tych zakłóceniach, trudno cokolwiek powiedzieć.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, Arndt przekazał oficerowi artylerii pakiet z zapasami żywności i środków medycznych. Potem goście Hague zmienili się w dwa huśtające się kręgi światła, które stopniowo zniknęły dalej na szlaku.

Przytłaczający duszę ciężar minionych dni zniknął, kiedy z wysiłkiem przedzierali się naprzód, przez błoto i zielony mrok, jak ludzie wędrujący po dnie wielkiego, leśnego morza. Później, następnego chłodnego poranka, porucznika obudziło pociąganie za but. Do niewielkiego namiotu, stanowiącego osłonę dla oficera, zaglądał Hurd, z twarzą zamienioną w pełną napięcia maskę, szarpiąc go za nogę.

– Niech pan się obudzi, panie poruczniku. Wydaje mi się, że oni są tutaj.

Hague mocno walczył, próbując mruganiem oczu otrząsnąć się z głębokiego snu, w którym przed chwilą się znajdował.

– Niech pan posłucha, panie poruczniku. Właśnie zaryczał jeden z tych ich rogów. Gdzieś tuż koło nas. Między nami, a główną grupą.

– Okej. – Hague miękko wytoczył się z namiotu, a Hurd budził pozostałych ludzi. Hague szybko podszedł do nich.

– Brian, zajmiesz się działkiem. Bucci, podajnik. Crosse jako ładowniczy. Bormann, kryjesz naszą prawą stronę. Hurd, lewą. Ja będę uważał na szlak z przodu.

Brian i Crosse pracowali szybko i cicho, ze śmiertelną sprawnością, która zrobiła z nich najlepszych kanonierów w Fort Fisher, w Północnej Karolinie. Bucci leżał bez ruchu na podajniku amunicji, ale oczy miał zupełnie jasne i wydawało się, że zapomniał o swojej spuchniętej, gorączkującej nodze. Sierżant i Crosse obrócili działko pneumatyczne, by pokryć szlak leżący za nimi, i zajęli pozycje obok błyszczącej szarej rury. Hague, Bormann i Hurd szybko uwijali się, składając namioty, rolując pakunki, cały czas trzymając swoje karabiny pod ręką.

Hague zapomniał o swoich lękach i braku wiary we własne siły, uczuci, że nie ma prawa rozkazywać takim ludziom jak sierżant Brian, Hurd, czy Bormann. Kiedy leżał obserwując opadającą mgłę, która jak gęsty dym zakrywała szlak prowadzący do grupy Clarka i tankietki, wszystko to utonęło w intensywnym oczekiwaniu.

Obejrzał się przez chwilę przez ramię. Brian, Bucci i Crosse, odwrócenii do niego wybrudzonymi błotem plecami, sprawdzali działko, wymrukując przyciszone komentarze. Bormann spojrzał na oficera, uśmiechając się w napięciu i wskazał ręką na Helen, siedzącą mu na ramieniu. Jego wargi wyraziście uformowały bezgłośnie słowa:

– Proszę się nie przejmować, Helen przynosi szczęście.

Mały ptak popatrzył do góry, na staro-młodą twarz Bormanna, i Hague, próbujący odpowiedzieć szerokim uśmiechem, miał nadzieję, że wyglądał na pewnego siebie. Hurd leżał po drugiej stronie szlaku, plecami do Bormanna, spoglądając ponad lufą swojego karabinu. Jego brodata

szczeka rytmicznie się poruszała, przeżuając kawałek tytoniu, który w jakiś sposób przetrwał do tej pory. Hague nagle pomyślał sobie, że musiał oszczędzać go na koniec.

Hague spojrzął z powrotem, w zielone światło zaczynające przenikać przez mgłę na szlaku, zmieniając ją w skłębioną świecą masę -- a potem wydało mu się, że widzi jakiś ruch. Dalej na szlaku, zaskoczył z rykiem silnik tankietki i usłyszał jak Whittaker obraca pobijaną wieżyczkę czołgu. Działko tankietki głucho zahuczało i pocisk wybuchł gdzieś w ciemnościach leśnych, po prawej stronie Hague.

Potem rozległ się gulgoczący wrzask i na szlak wysypały się szare, człekokształtne postaci. Hague wziął je na cel, czarna muszka celownika rysowała się ostro na tle świecącej mgły. Ustawił celownik na jedną z biegnących postaci i nacisnął spust. Potem ponownie, i jeszcze raz, w miarę jak zbliżały się kolejne cele. Ostre odgłosy wystrzałów przetoczyły się z trzaskiem pomiędzy wielkimi drzewami. W odpowiedzi nadleciały kolejne gwałtowne wrzaski i świszczące dźwięki nad głową, które jak wiedział, musiały oznaczać przelatujące wydmuchiwane strzałki. Za jego plecami działko pneumatyczne plunęło ogniem, a karabiny Bormanna i Hurda huczały, powiększając narastający jazgot.

Niebieskie błyski wystrzałów i kule wybuchowe powodowały fantastyczne rozbłyski w głębi leśnych cieni. Nagle wypadła z nich i ruszyła biegiem przez mgłę w jego stronę, grupa człekokształtnych postaci. Hague wybrał w świecącym тумanie jedną z nich, wystrzelił, kolejną, wystrzelił. Gulgoczące wrzaski były wszędzie dookoła i strzelał w ich stronę przez mgłę, na bezpośrednim zasięgu. Jedno ze stworzeń wyrosło tuż koło niego, i Hague wrzasnął z morderczą furją, wyszarpując przypięty do pasa nóż, i wbijając go w szarą skórzastą okrywę. Coś oparzyło go w ramię, odtoczył się więc na bok, strzelając do ciemnej postaci stojącej nad nim z uniesioną haczykową włócznią. Niebiesko-biały rozbłysk był oślepiająco jasny i zaklął głośno, zrywając się na nogi.

To był koniec. Pojedyncze, rozproszone strzały, i las ponownie leżący w spokoju. Po tym strzale niemal z przyłożenia, wzrok Hague był mocno ograniczony.

– Czy ktoś jeszcze potrzebuje pierwszej pomocy? – zawołał, próbując utrzymać pewne brzmienie głosu. Kiedy odpowiedziała mu cisza, polecił: – Hurd, zaprowadź mnie do czołgu.

Usłyszał jak człowieczek o szczurzej twarzy wydyszał:

– Mój Boże, on jest ślepy.

– Po prostu oślepił mnie rozbłysk wystrzału, Hurd. To tylko chwilowe. – Hague utrzymywał sztywny wyraz twarzy i szaleńczo miał nadzieję, że ma rację. Że to tylko czasowa ślepota, chwilowy szok optyczny.

Wtrącił się lodowaty głos sierżanta Briana.

– Działko jest w porządku, panie poruczniku. Nikt nie został ranny. Wystrzeliliśmy dwadzieścia osiem serii H.E. Żadnych A.P.X. Idź z nim, Hurd.

Poczuł jak Hurd pociąga go za łokieć, i wyruszyli w drogę szlakiem.

– Jak oni wyglądają, Hurd?

– Te człekokształtne stworzenia? Są całe szare, mniej więcej moich rozmiarów, ich skóra wygląda normalnie, jak skóra, a głowy są spłaszczone. Oczy mają po obu stronach głowy, jak jaszczurki. Ani skrawka ubrania. Tylko pas z nożem i kołczan na strzały. No i mają połączone błoną szpony u stóp. Wyglądają na bardzo złe stworzenia, sir. No, jest czołg.

Doleciał do niego głos Clarka, twardy i czysty.

– To ty, Hague? – Przez moment panowała cisza. – Co się stało? Chyba nie jesteś ślepy?

Sewell porzucił swoją zwykłą drażliwość i jego głos był mocny i uprzejmy.

– To tylko oślepił pana rozbłysk, nieprawdaż, sir? Te krople postawią pana na nogi. Ma pan też rozcięcie na ramieniu. Zajmę się tym również.

– Jak tam twoi ludzie, Hague? – Głos Clarka brzmiał, jakby stał on tuż koło Hague.

– Nawet jednego zadrapania. Jesteśmy gotowi do dalszego marszu.

– Tutaj mamy pięciu rannych. Trzech w straży przedniej i dwóch koło czołgu. Daliśmy im jednak dobrze popalić. Wyskoczyli na szlak pomiędzy naszymi jednostkami i dostali ogień z obu stron. Musieliśmy zabić ze dwudziestu z nich.

Hague wykrzywił się, po tym jak zaszczypało go coś, co Sewell zakroplił mu w oczy.

– Kto jest ranny?

– Arndt, geolog. Jego kumpel, Galut, botanik. Technik z laboratorium, Harker. Marynarz Harker i Szachek, meteorolog. Jak stoisz ze swoją amunicją pneumatyczną?

– Wystrzeliliśmy dwadzieścia osiem serii H.E.

Kartograf Hirooka wybuchnął z podeksytowaniem.

– Ta obsługa twojego działka! Twoja sekcja załatwiła dwudziestu jeden z tych... tych jaszczurzych ludzi. Cała banda nadeszła szlakiem z tyłu, po naszych śladach i pneumatyki rozwaliły ich na kawałki.

– Dobrze poszło, Hague. Ochronę tyłów, nadal pozostawimy więc tobie. Zlikwiduję straż przednią, i będą tylko dwie grupy. My będziemy na szpicy, a ty za nami, jako straż tylna. – Clark milczał przez chwilę, a potem jego głos zabrzmiał gorzko. – Wiesz przecież, że zostaliśmy zredukowani tylko do siedemnastu ludzi.

Zaklął i Hague usłyszał jak mały, żylasty nawigator, poczłapał z pluskiem przez błoto i zaczął wykrzykiwać rozkazy. On i Hurd ruszyli z powrotem, wysłuchując Wittakera i sierżanta Samplera wyrzaskujących z czołgu dzikie instrukcje, dotyczące tego co straż tylna powinna zrobić z kolejną bandą jaszczurzych ludzi, która będzie próbowała się do nich podkraść.

Wzrok Hague trochę się poprawił i jak przez mgłę zobaczył Balistieriego i fotografa Whitcomba, mierzących, fotografujących, a nawet wykonujących sekcje kilku jaszczurzym ludziom. Szlak za nimi, po tym jak został zamieciony przez ogień działka pneumatycznego, stał się istnym rumowiskiem odłamków drewna, porozrywanych ciał i podziurawionej kraterami ziemi.

Rozłożyli działko na części, pozapinali uprząż z wyposażeniem i na sygnał gwizdka Clarka, ruszyli dalej. Bucci musiał być podtrzymywany z obu stron przez dwóch innych ludzi, i zmieniali się przy tej pracy po kolei, brnąc przez wodę i błoto, z kuśtykającym Buccim między nimi, wlokącym swoją bezużyteczną opuchniętą nogę. To była mordercza praca, ponieważ gorące opary migotały i gęstniały coraz bardziej. Jak zauważył Hague, nikt jednak nawet nie rozważał pozostawienia kolegi, a on zdecydował się nic nie mówić o rozkazach Clarka, mówiących że chorzy ludzie mają być porzucani.

Dni i noce błyskawicznie mijały w posępnej monotonii błota, gorąca, insektów i kurczących się racji żywnościowych. Potem, pewnego ranka gigantyczne drzewa zaczęły się przerzedzać, i przeszli z lasu tropikalnego do dżungli.

Zmiana ta przyszła jednak zbyt późno dla Bucciego. Wycięli obok szlaku wyraźny znacznik, a na jego szczycie umieścili hełm zmarłego młodego człowieka. Porucznik Hague poniosł dalej w swojej kieszeni, wybrudzony list, z instrukcjami, aby przekazać go Wilmie, niedawno poślubionej żonie kanoniera.

Hague oraz jego czterech artylerzystów, podążali szlakiem za grzechoczącą tankietką, idąc coraz wyżej i pozostawiając dżunglę za sobą, aż ich protestujące nogi przeniosły ich przez krawędź wysokiego, chłostanego wiatrem płaskowyzu, rozciągającego się jak okiem sięgnąć, zarówno po obu bokach, jak i przed nimi.

Czarne mury miasta, wznosiły się tajemniczo: proste, czarne, szkliste ściany, na planie kwadratu, z pękatą wieżą ustawioną dla wzmocnienia w każdym z czterech narożników, zamykające w środku, jak się wydawało, milę kwadratową niskich budynków. Szara, niesiona wiatrem ponad płaskim posępnym pustkowiem mgła, szeleszcząc w ciemnej trawie, chłostała zimną wilgocia.

Balistierri, maszerując z mozołem obok Hague, w tylnej straży, popatrzył nieufnie na wyrastające czarne ściany, mrużąc pod nosem:

– „Sir Roland pod Mroczną Wieżą stanął¹”.

Czołg Samplera miał gąsienicami, jadąc wzdłuż podstawy dwunastostopowego muru, a potem skrzył pod ostrym kątem w prawo i cała ekspedycja przeszła rzędem przez kwadratową przerwę w ścianie, która kiedyś musiała pełnić funkcję bramy. Znajdujące się za nią czarne miasto, wyglądało na pozbawione gospodarzy. Zamglone ulice i place porastała ciemno zabarwiona trawa, przelewająca się przez progi sześciennych, stojących w starannie wyrównanych rzędach domków, zbudowanych z grubych, czarnych bloków. Hague nie słyszał niczego, poza chłoszczącym wiatrem, stukotaniem czołgu i cichym pobrzękiwaniem

¹ Tytuł (i ostatni wers) poematu Roberta Browninga „Childe Roland to the Dark Tower Came” w tłumaczeniu Juliusza Żuławskiego.

sprzętu wiszącego na ludziach, przedzierających się przez wysoką do kolan trawę, i zaglądających ostrożnie w czarne otwory wejściowe.

Gwizdek Clarka ostro zaświstał, silnik czołgu zamilkł i wszyscy czekali.

– Hague, podejdź tutaj do przodu.

Oficer artylerii skinął głową w stronę sierżanta Briana, i szybko podszedł do Clarka, który opierał się o pocętkowany błotem bok czołgu.

– Sampler mówi, że musimy dokonać paru napraw w czołgu. Wykorzystamy to miejsce jako schronienie. Ustaw swoje działko na jakimś wysokim dachu, tak by panowało nad ulicą... albo może lepiej będzie, jak ustawisz je na murze. Chcę, żeby dwóch twoich kanonierów wyruszyło na polowanie na jakieś jadalne zwierzęta.

– Bob, co myślisz o tym miejscu?

– Strasznie mnie przybija – opalona na wietrze twarz nawigatora wykrzywiła się w wyrazie zmieszania. – Lenkranz lepiej zna się na metalach, ale sądzi, że ten kamień jest pochodzenia wulkanicznego, coś w rodzaju obsydianu. Z pewnością nie mogli tego zbudować ci jaszczurzy ludzie.

– Zaraz za bramą mijaliśmy jakieś płaskorzeźby czy freski.

– Whitcomb ma zamiar je sfotografować. Blake, Lenkranz Johnston i Hirooka będą się zajmować badaniem tego miejsca. Dwóch twoich artylerzystów, marynarz Swenson i Balistierri utworzą dwa zespoły łowieckie.

Przez pięć dni Hague i Crosse wędrowali po ponurym płaskowyżu, pod szybko pędzącymi po niebie ławicami ołowianych chmur, polując na małe jaszczury, przypominające dinozaury i biegające w grupach, jak szare kurczaki. Ich mięso było całkiem dobre, a Sewell porzuciwszy chwilowo swą rolę technika medycznego, osiągnął entuzjastyczny powszechny poklask, jako doskonały kucharz. Balistierri znalazł się w zoologicznym raj, i codziennie przez dziesięć, dwanaście godzin bez przerwy, polował po całym wietrznym płaskowyżu, razem ze Swensonem, wielkim, białowłosym Szwedem. Nocami zoolog siadał w świetle zestawu kuchennego, a jego szczupła twarz pałała ekstazą, kiedy opisywał niesamowite żywe stworzenia, które on i Swenson wytropili w ciągu dnia, albo dla odmiany kwękał nad koniecznością zjadania czegoś, co dla niego było bezcennym okazem zoologicznym.

Whittaker i Sampler grzebali przez cały czas w opornych bebecach czołgu, waląc młotkami i wykrzykując ordynarne uwagi, do każdego kto się pokazał w okolicy, aż w końcu trzeciego dnia wynurzyli się z niego, cali wybrudzeni, wysmarowani olejem i spoceni, aby zaanonsować wszystkim:

– Tankietka gotowa do dalszej jazdy, cholerne gó... poskręcane na sznurki ku...

Tego popołudnia, Whittaker siedząc obok przedniego wjazdu, zajmował się konserwacją stacji nadawczo-odbiorczej czołgu. W pewnej chwili Hague poderwał na baczność jego dziki wrzask. Oficer ostrożnie oddał Bormannowi jego skórzastego ptaka, ześlizgnął się z miejskiego muru i pobiegł do Whittakera. Kiedy Hague dopadł do czołgu, Clark już tam był.

– Posłuchajcie! Złapałem ich! – krzyknął Whittaker i wyciągnął trzeszczące słuchawki w stronę Clarka.

Przez zakłócenia przebijał się cichutki głos.

– Baza... Peter Jeden... Czy mnie słyszy... do George Easy Peter Jeden... słyszycie...

Whittaker pstryknął przełącznikiem swojego zawieszonego na szyi mikrofonu.

– George Easy Peter Jeden do Bazy. George Easy Peter Jeden do Bazy. Słyszemy was. Słyszemy was. Rakieta uległa rozbiciu. Rakieta uległa rozbiciu. Wracamy lądem. Wracamy lądem. Obecny stan, szesnastu ludzi. Czy możecie zrzucić nam jakieś zapasy? Czy możecie zrzucić nam jakieś zapasy?

Ze słuchawek buchnęły trzaski, ale nie przebijały się przez żadne głosy. Podniecenie na twarzy Clarka opadło i pobruździły ją zmarszczki zmęczenia.

– Straciliśmy kontakt z nimi. Próbuje dalej, Whittaker. Hague, jutro o świcie, wyruszamy w kolumnie marszowej. Znowu przejmiesz straż tylną.

Zgodnie ze słowami Clarka, szare światło wietrznego świtu, zastało ich już na nogach. Zapinając na sobie wyposażenie oraz płyty pancerzy, zebrali się dookoła czołgu. Udało im się trochę wypocząć i byli najedzeni do syta.

– Maszerować, wy biedni pechowcy! – wrzeszczał Whittaker z wieżyczki swojej tankietki. – A jeżeli się zmęczycie, to zawsze możecie trochę sobie podbiec! – parsknął, wyszczerzając się w nieżyczliwym uśmiechu, i rozparł się, udając jak to niby jest wygodnie w fotelu operatora działka, cienko wyściełanym metalowym pasie.

Balistierri i jasnowłose Swenson zarzucili na ramię karabiny i ruszyli w drogę. Mieli iść daleko z przodu, jako zwiadowcy.

– Nie chciałbym jechać w tym opancerzonym metalowym pudle, nawet gdyby miało wbudowany w środku harem – krzyknął do Whittakera Hurd, i rzucił dobrze wycelowaną kulą błota prosto w głowę czołgisty. Kiedy silnik czołgu zaskoczył, a następnie metalowy pojazd potoczył się naprzód, w stronę bramy, Whittaker nadal z nich szydził, ale większą część głowy schował bezpiecznie pod obręczą wjazdu wieżyczki. Obok maszerował Clark, w obszarpanym, ale starannie oskrobanym z błota i wyczyszczonym mundurze, razem z Lenkranzem, specjalistą od metali. Obaj nieśli karabiny i mieli na sobie na wpół puste bandolety z nabojami wybuchowymi.

Za czołgiem, podskakiwał wózek z zapasami, a za nim rządkiem szli: Whitcomb jak zwykle obwieszony swoimi aparatami fotograficznymi; Sewell, wysoki, lakoniczny technik medyczny; Johnston; kartograf Hirooka, pochłonięty bez reszty przeglądaniem przypiętej do podkładki rozłożonej mapy; koniec zamykał Blake, szczupły bakteriolog z okularami na nosie. Hague poczekał aż znikną za ostro wyciętą w miejskich murach bramą, a następnie odwrócił się do swojej sekcji działka.

Sierżant Brian, jak zawsze chłodny i opanowany, ruszył jako pierwszy, niosąc lufę działka pneumatycznego. Za nim szedł Crosse z podajnikiem.

Jako następny kroczył Bormann, szepcząc coś do Helen, która jechała mu na ramieniu wygwizdując gardłowe wezwania. Ostatni szedł Hurd paradując dumnie, ze szczęką pracującą nieustannie nad jakimś tajemniczym pożywieniem.

Hague obrzucił przez ramię spojrzeniem opustoszałą ulicę czarnych sześcianów, zastanawiając się nad mglistą samotnością tego miejsca, i podążył za Hurdem.

Godziny wlokły się jedna za drugą, a oni szli przez ciemne trawy, przedzierając się przez wilgotne macki chmur, stawiając czoła chłoszczącemu zimnemu wiatrowi, z oczyma zwężonymi od ukłuć jego żadeł. Helen, nieszczęśliwie skrzecząc, wpęzła Bormannowi pod koszulę i dalej podróżowała schowana, wystawiając jedynie swój brązowy łeppek.

– Proszę popatrzeć na tę wielką dziurę, panie poruczniku! – zawołał Hurd, przekrzykując wiatr.

Hurd pozostał z tyłu, i Hague rozkazał zatrzymać się, aby zbadać znalezisko. Ale kiedy pośpiesznie szedł w jego kierunku, żyłasty, mały człowieczek krzyknął i raptownie zniknął z pola widzenia. Nadbiegł Brian, i wraz z Hague zaczęli wyglądać przez krawędź zagłębienia w kształcie leja, z którego usiłował wypełznąć Hurd. Za każdym kiedy udawało mu się już pokonać jedną trzecią drogi w górę osiemnastostopowego zbocza, żwirowata ziemia osuwała się, i lądował z powrotem na dole.

– Rzućcie mi linę!

Brian zdjął z pasa zwój nylonowej liny, rozplątał go i rzucił koniec prosto w wyciągnięte dłonie Hurda. Hague i sierżant zaparli się dobrze na górze i przygotowywali się do wyciągnięcia artylerzysty, kiedy porucznik zauważył jakiś ruch pod jego stopami, na dnie leja, i dostrzegł wyłaniające się spod luźnego, czarnego żwiru, olbrzymie szczypce.

– Hurd, uważaj! – krzyknął z całej siły.

Mały człowieczek, z pobielającą twarzą, rzucił się w bok, widząc wielkiego żuka, który wyprysnął z dna leja. Gdy szaleńczo usiłował wspiać się na ścianę leja, szczypce wielkich szczęk zwierzęcia złapały go w pasie. Przy wtórze rozpaczliwych wrzasków Hurda, odwracającego zniekształconą przerażeniem twarz w stronę kolegów, monstrualny żuk zaczął ściągać go z wielką siłą na dół. Hague rzucił się do swojego karabinu i wycelował z niego uważnie. Kiedy rozległ się trzask wystrzału, szczypce zacisnęły się na brzuchu Hurda, przecinając małego człowieczka na pół. Niebiesko-biały rozbłysk i huk eksplozji, zmieszały się ze zduszonym krzykiem Hurda. Chrząszcz przeturlał się, przewracając się na grzbiet, do góry nogami, i na dnie dołu leżały dwa splątane ciała. Brian i Hague popatrzyli na siebie pobladłymi twarzami w milczącej zgrozie, po czym odwrócili się od krawędzi dołu i szybkim truchtem wrócili do reszty.

Bormann i Crosse spoglądali ze strachem w ich kierunku, przez targaną wiatrem trawiastą równinę i krzykliwie dopytywali się, co się stało z Hurdem.

– On nie żyje. Koniec z nim. – dziko wrzasnął Hague, przekrzykując wycie wiatru. – Ruszajmy dalej. Nic już nie możemy zrobić. Idziemy.

Rozdział IV

O godzinie 16.30, komandor technik Harker naciągnął na uszy zestaw słuchawkowy, pstryknął przełącznikiem nadawania, i monotonnym głosem powtórzył rutynowy komunikat słowny.

– Baza do George Easy Peter Jeden... Baza do George Easy Peter Jeden... George Easy Peter Jeden, czy mnie słyszycie... George Easy Peter Jeden, czy mnie słyszycie... czekam na odpowiedź... czekam na odpowiedź...

W słuchawkach nie było słychać niczego, poza wybuchem trzeszczących zakłóceń, dopóki nie spróbował następnie połączyć się z helikopterami, i „George Easy Peter Dwa” i „George Peter Easy Trzy” nie zgłosiły się w odpowiedzi. Operowały akurat blisko bazy.

Spróbował ponownie „Jedynki”, tak na wszelki wypadek.

– Baza do George Easy Peter Jeden... Baza do George Easy Peter Jeden... Czy mnie słyszycie... czy mnie słyszycie...

Przez zakłócenia przebił się jakiś charkoczący poszept. Twarz Harkera przybrała oszołomiony wyraz, ale szybko włączył inny przełącznik, i trzeszczący głos zaryczał przez ogólny system nagłaśniający statku-matki. Ludzie na pokładzie całego ogromnego statku rzucili swoją pracę i skupili się wokół głośników.

– George ... Jeden do Bazy. ... słyszymy was ... rakieta ... rozbiciu ... ładem ... obecny stan ... zapasy ... zrzucić ... zapasy?

Ponownie napłynęła rzeka zakłóceń i zatopiła szepczący głos, podczas gdy przez pokład Odyseusza przetoczyły się radosne wiwaty i fala narastającego gwaru rozmów. Harker wyłączył system nagłaśniający i z wytężoną uwagą wsłuchiwał się w trzaski zakłóceń odbierane w słuchawkach. Jednak, pomimo kolejnych wywołań, na falach radiowych nie pojawiła się już żadna inna odpowiedź.

Podniósł wzrok, rozglądając się, i stwierdził, że Pomieszczenie Sygnałowe jest wręcz wypełnione technikami, członkami sekcji naukowej, oficerami. Ludźmi ubranymi w robocze fartuchy laboratoryjne, zatłuszczone kombinezony, albo nieskazitelne mundury Służby Rakietowej. Kiedy próbował przebić się przez zakłócenia, wszyscy wpatrywali się uważnie w jego pełną napięcia twarz. Komendant Chapman wyglądał na szczególnie wynędzniałego, i Harker przypomniał sobie, jak ktoś mu kiedyś mówił, że młodsza siostra Chapmana była żoną technika medycznego, który poleciał z Rakietą Patrolową Jeden.

Harker w końcu niechętnie ściągnął słuchawki i położył je przed sobą na stole.

– To już wszystko. Wszystko, co powiedzieli, słyszeliście przez system nagłaśniający. Nic więcej nie odebraliśmy.

Nadeszła noc, po niej minął kolejny dzień, i znowu noc. W końcu dotarli do drugiego krańca płaskowyżu i stali na nim, spoglądając z chłostanej wichrem skarpy, na nieskończone morze lasu tropikalnego, rozciągającego się szarozieloną taflą daleko w dole, pod nieprzerwaną pokrywą ołowianych chmur. Hague, znajdujący się nieco z tyłu, obserwował swoich towarzyszy. Cienki szereg obszarpanych ludzi, stojących wzdłuż krawędzi zbocza, spoglądających z niej żałośnie na te nieskończone bezmiary, usiłując wypatrzyć choćby błysk czegoś co mogłoby być odległym kadłubem Odyseusza, statku-matki. Wilgotny wiatr trzepotał okrywającymi ich strzępami ubrań i oklejał nimi ich wychudzone ciała.

Clark i Sampler naradzali się, przekrzykując wiatr.

– Czy czołg pokona ten stopień? – próbował dowiedzieć się Clark.

Chociaż raz wyrazista, wesoła twarz sierżanta Samplera, przybrała ponury wyraz.

– Nie wiem, ale z pewnością spróbujemy. Bądźcie gotowi odłączyć wózek, gdyby czołg zaczął się ześlizgiwać.

Do wózka przymocowano liny podtrzymujące, jeden z ludzi stanął przy haku holowniczym czołgu, i Sampler ruszył swoim pojazdem naprzód, przejeżdżając przez krawędź. Tankietka pochyliła się do dołu, pod ostrym kątem. Hague, mający w ręku jedną z lin podtrzymujących, zaparł się stopami i pozwolił, aby ciężar czołgu przeciągnął go naprzód, przez krawędź. Czołg, wózek i zabłocone postaci, wczepione w liny podtrzymujące, zaczęły posuwać się w dół, po stromym zboczu. Bormann, walczący z uwieszonym na linie ciężarem tuż przed porucznikiem, odwrócił napiętą twarz, spoglądając przez ramię.

– Zaczyna ześlizgiwać się szybciej!

Czołg rzeczywiście zaczął nabierać szybkości i Hague usłyszał zgrzyt przekładni, kiedy Sampler próbował walczyć ze ściągającą ich na dół siłą grawitacji. Po zmianie biegu, Sampler zmusił tankietkę do wyprostowania, ale szybkość ześlizgu ciągle narastała. Hague został przyciśnięty przez Bormanna, wbijając stopy w ziemię, a z tyłu słyszał sierżanta Briana przeklinającego i walczącego o to, by jak najmocniej szorować po ziemi, przeciwdziałając ściągającej ich na dół sile.

Czołg ponownie zakołysał się na boki, ześlizgnął się i z wieżyczki wyjrzała biała twarz Whittakera.

– Lecimy – wrzasnął.

Jedna z lin podtrzymujących pękła. Clark skoczył jak szaleniec, pomiędzy tankietkę i wózek, i przeciął hol. Czołg, nie mając już dostatecznej przeciwwagi, która by go podtrzymywała, odchylił się powolnym, majestatycznym ruchem na zewnątrz, a następnie przetoczył się do przodu i poleciał na dół, odbijając się i uderzając kolejno tyłem i przodem, tak jakby na filmie ze zwolnioną prędkością, przy każdym

miażdżącym kontakcie ze zboczem, wyrzucając na wszystkie strony jakieś części. Wyglądał w dole jak zabawka, ciągle obracając się i nabierając szybkości. W pewnej chwili Hague zobaczył ciało Whittakera, lecące swobodnie w górze, wyglądające z tej odległości jak mała szmaciana lalka, a potem czołg zniknął im z oczu, kiedy odbił się od występu i poleciał na dół w powietrzu.

Clark zasygnalizował, aby ruszali naprzód i zaczęli zjeżdżać powoli wózkiem z zapasami, podtrzymując go na linach, zapierając się o ziemię trzęsącymi się z wysiłku nogami, i ze stojącym przed oczyma obrazem kredowej twarzy Whittakera, wyglądającej z wieżyczki spadającej tankietki. Minęło osiem godzin zanim, zataczając się z wyczerpania, osiągnęli dół zbocza. Wyznaczyli strażę i padli bez tchu w swoich namiotach. Hague słyszał, jak na zewnątrz Clark krąży niespokojnie, próbując przekonać sam siebie, że podjął właściwą decyzję, odcinając hol czołgu, że gdy tankietka zaczęła się już ześlizgiwać, nie było żadnej szansy na uratowanie Whittakera i Samplera.

Hague leżał w swoim malutkim namiocie, słuchając odgłosów kroków, chlapiących w znowu błotnistym wenusjańskim gruncie, i był naprawdę szczęśliwy, że to nie on musiał podjąć tę decyzję. Zaoszczędził trzy papierosy, w pudełku z natłuszczonej skóry, i teraz wysunął jednego z nich, przypalił i głęboko się zaciągnął. Czy on byłby w stanie zrobić to, co zrobił Clarke -- przeciąć hol? Gdy wziął ostatni wdech, wypełniający płuca dymem z malutkiego niedopałka papierosa, i starannie go dogasił, nadal tego nie wiedział.

Kiedy przez warstwę chmur zaczął przesączać się blask świtu, zwijali już namioty i przypinali sobie ekwipunek. Twarz Clarka, kiedy rozmawiał z Hague, stanowiła zniszczoną maskę, a jego palce przy zapinaniu sprzączek, wyraźnie się trzęsły.

– Pozostało nas już tylko trzynastu. Sześciu ludzi będzie ciągnęło wózek z zapasami, a sześciu będzie trzymało straż, w czterogodzinnych zmianach. Ty i ja będziemy na zmianę przejmować dowodzenie nad strażą.

Przez chwilę milczał, a potem, kiedy ponownie zaczął mówić, uważnie obserwował twarz Hague.

– Jeżeli komukolwiek z nas uda się przedostać, to będzie cud najwyższego lotu. Hague... przecież wiesz, że musiałem odciąć czołg. – Jego głos zaczął się nerwowo unosić. – Wiesz przecież! Jesteś oficerem.

– Tak, myślę, że musiałeś. – Hague nie potrafił powiedzieć tego w jakiś lepszy sposób i odwrócił się, aby pracownicy zająć się słupkami mocującymi do wózka z zapasami, przenośne urządzenie wykrywające wiązkę sonarową.

Wyruszyli. Hague zapiął się w uprząży do ciągnięcia podskakującego na wybojach wózka z zapasami. Clarke szedł potykając się niezdarnie na przedzie, mając obok siebie idącego z bronią w ręku Blake'a, chudego, milczącego ducha. Potem jechał wózek, z Hague, Bormannem, sierżantem Brianem, Crosse, Lenkranzem i Sewellem, uginającymi się w jednym rzędzie pod jego ciężarem. Na tyle maszerowali fotograf Whitcomb, Hirooka ze swoimi mapami, i Balistierri. Wszyscy nieśli karabiny. Jako ostatni w rzędzie, szedł wielki Szwed, Swenson, czujnie oglądający się do

tyłu, w cieniu tropikalnego lasu. Trzynastu ludzi szło rzędem, jak Indianie, znikając z zasięgu wzroku obserwujących ich płaskogłowych gadzich stworzeń, ściskających w dłoniach wiązki strzał z brązu.

Kiedy zanurzyli się w lesie tropikalnym, Hague znowu stracił rachubę dni. Szedł wpatrzony w górę, na gruby dach zbudowany z koron drzew, a jego brodzące w błocie stopy odnajdywały dalszą drogę zupełnie bez udziału świadomości. Jego uszy równie automatycznie rejestrowały szmery toczących się z tyłu rozmów, skrzypienie torturowanego wózka z zapasami i jednostajne terkotanie sonaru. Powietrze czuło się jakoś inaczej, było cieplejsze od normalnego gorąca łaźni parowej, gęste i naładowane energią wyczekiwania, a las wydawał się czaić w oczekiwaniu, z wymuszoną ciszą polującego kota.

Crosse krzyknął przyciszonym głosem, z samego końca rzędu maszerujących ludzi, aby stanęli i posłuchali, tak więc wszyscy się zatrzymali. Ekipa ciągnąca wózek, z wdzięcznością zrzuciła na chwilę swoją uprząż. Hague odwrócił się do tyłu i zobaczył jak cienka ręka Crosse wymachuje nad głową karabinem, a następnie wskazuje nim wzdłuż szlaku. Porucznik nasłuchiwał uważnie, aż wyłapał ten odgłos, przyciszony dźwięk, głos rogu złagodzony przez odległość.

Bezwiednie ludzie przysunęli się bliżej siebie, rzucając ostrożne spojrzenia na otaczające ich leśne ścieżki.

– Idziemy dalej do przodu, Hague. Tych jaszczurzych ludzi musi być więcej. – Clark zaklął ze znużoną rozpaczą. – No dobrze, idziemy dalej i lepiej przyśpieszmy kroku.

Wózek ponownie zaczął skrzypieć jadąc naprzód, tym razem poruszał się jednak znacznie szybciej, a wszystkie nierówności i kanty karabinu zaczęły dawać się Hague we znaki. Ruszył szybciej, wychodząc szlakiem dalej naprzód, przed pozostałych. Kiedy w pewnej chwili spojrzał ponownie do góry, zobaczył przerwy w leśnym zadaszeniu, i zdał sobie sprawę, że tam, daleko w górze, ogromne drzewa pochylają się gwałtownie na wszystkie strony.

– Uważajcie! – krzyknął na całe gardło. – Nadciąga wiatr!

Wiatr pojawił się nagle, uderzając z mocą kamiennej ściany. Hague sprintem pobiegł do wózka i ciężko zmagająca się grupa ludzi, zepchnęła go ze szlaku, zapierając następnie w zakamarku dwóch wielkich korzeni drzewa i przywiązując go do nich nylonowymi linami. Szybkość wiatru coraz bardziej narastała, ciskając w górze połamanymi gałęziami i rzucając ich resztki na ludzi, którzy leżeli na ziemi, z głowami mocno wtulonymi w błoto. Mniejsze zwierzęta zwiewało i rzucało do tyłu, a raz nawet nadleciał, z rozpostartymi jak gwiazda nogami, wielki pająk, który potem został ciśnięty o pień drzewa, ginąc połamany.

Szum wiatru robił się coraz głośniejszy, powietrze pociemniało i Hague stracił z oczu pozostałych ludzi, schowany w ukryciu za wystającym jak murek korzeniem. Wielkie drzewa skręcały się na wszystkie strony i jęczały w proteście, a przez las niosło się echo huku potężnych upadków,

czasami mieszające się z cichymi piskami umierających, albo przerażonych zwierząt. Wiatr nagle ustał, na pozbawiającą tchu w piersiach chwilę całkowitej ciszy, łamaną jedynie przez opadające resztki gałęzi i odgłosy bezładnej ucieczki niewielkich istot żywych. Potem uderzył z ryczącą furją, ale z przeciwnego kierunku.

Przez chwilę oficer artylerii myślał już, że pęd powietrza oderwie go od korzenia, którego złapał się kurczowo, wbijając paznokcie w miękką powierzchnię drewna. Brutalna siła wiatru jednym uderzeniem wycisnęła mu powietrze z płuc i przyszpiliła go w kącie pomiędzy korzeniem a ziemią, tak że musiał walczyć z całej siły o oddech, podobnie jak to robią tonący. Zdawało mu się, że nie da rady złapać tlenu, że powietrze wokół niego zmieniło się w ciało stałe, które nie może już dać mu życia. W tym momencie wiatr ustał, równie nagle jak się pojawił, pozostawiając po sobie oszołomioną ciszę. Kiedy Hague kuśtykając wracał do wózka, zobaczył poruszającą się z trudem gadzią głowę, przygniecioną przez konar drzewa o grubości uda. Umierające oczy jaszczurzego człowieka, nadal jeszcze były w stanie spoglądać na niego z zimną wrogością.

Wózek z zapasami był nietknięty, mocno przywiązany ze wszystkich stron do korzeni podpierających wielkie drzewo oraz do wbitych w twarde drewno noży. Hague i Clark odwiązali go szybko, zarządzili natychmiastowy wyjazd, i ponownie podjęli marsz w przyśpieszonym tempie, wykorzystując chłodniejsze i czystsze powietrze. Nie słyszeli już żadnych granych na rogu sygnałów, ale ponura świadomość, że jaszczurzy ludzie z pewnością znajdowali się w pobliżu, dodawała im sił. Hague prowadził ich tak szybko, jak tylko mógł, uważnie nasłuchując dobiegającego z tyłu terkotania sonaru, zmieniając kierunek, kiedy tylko dźwięk przycichał i zmierzając prosto przed siebie, jeżeli robił się głośniejszy.

Minął kolejny dzień, a potem jeszcze jeden, i wózek toczył się naprzód przez śliskie błoto podłoża lasu, pośród terkotania sonaru mieszającego się ze szmerem ludzkich głosów, rozmawiających o jedzeniu. To był uniwersalny temat, i cała grupa starannie układała przyszłe menu wykwinnych potraw, które żarłocznie pochłoną, kiedy już dotrą do domu. Zapomnieli o gorącu, ukąszeniach owadów, o duszącej wilgotności, i rozmawiali o jedzeniu -- półmiskach z parującym pieczystym, otoczonych przez kryształowe puchary mrożonego wina, oleistych pieczonych orzeszkach i stosach chrupiących zielonych sałatek.

Rozdział V

Hague, maszerując znowu na przedzie, razem z Balistierri, wyszedł na stosunkowo jasną polanę. Po wielu dniach spędzonych w ciemnościach lasu, na moment oślepiło go przebijające przez chmury światło. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do cytrynowego blasku, on i Balistierri spostrzegli zwierzęta, przycupnięte pod niskimi, gęsto rosnącymi na polanie krzewami. Wyglądały jak podobne do małp naczelné, o złocisto-płowej sierści i białych, papuzich grzebieniach, wyrastających ponad psimi pyskami. Małpy przyglądały im się przez chwilę z niepewnością, unosząc wielkie białe grzebienie i odsłaniając, podobne do psich kły, w kolorze kości słoniowej, o długości całych trzech cali.

Żerowały właśnie na owocach, rosnących na wypełniających polanę krzewach. Na widok ludzi jedna z nich wrzasnęła ostrzegawczo i wszystkie skoczyły w gęste pnącza, tworzące skłębioną ścianę, otaczającą polanę ze wszystkich stron. Dwa karabiny trzasnęły razem, a potem jeszcze raz, i na ziemi pozostały nieruchomo trzy fantastycznie ubarwione ciała, podczas gdy reszta stada uciekła z wrzaskiem na wierzchołki drzew i zniknęła w gęstwinie lasu.

Hałas wystrzału spowodował, że dookoła zdumionych Rakieciarzy wzbił się w górę trzepoczący, kolorowy kalejdoskop. Stali jak oślepieni, podczas gdy wokół nich zaczął krążyć szaleńczy wir, miniaturowa burza kolorów.

– Jakie wielkie motyle – zawołał w ekstazie Balistierri. – Popatrz tylko na nie! Wielkie jak gołębie!

Hague obserwował jak jaskrawo ubarwione motyle łączą się na wysokości dwudziestu stóp, w jedną skłębioną masę spłoszonych owadów, lazuru, metalicznie zieloną, żółtawą. Pulsująca feeria kolorów rozdzieliła się na pojedyncze owady, o skrzydłach wielkości talerzy obiadowych, które zaczęły kolejno zniknąć z zasięgu wzroku, ponad gałęziami drzew.

– Co to było? – uśmiechnął się do Balistierriego. – Czy również i je nazwiemy na cześć Bormanna?

Drobny zoolog ciągle jeszcze wpatrywał się w miejsce, w którym zniknęły.

– Czy to ma jakieś znaczenie, jak je nazwę? Naprawdę wierzysz, że ktokolwiek będzie w stanie kiedyś przeczytać dziennik, który sporządzam?

– Przez chwilę patrzył pustym wzrokiem na oficera artylerii, a następnie stwierdził: – No dobrze, chodźmy już. Lepiej zdejmijmy skóry z tych małp. Przynajmniej przydadzą się jako jedzenie.

Hague ruszył za Balistierriem, i stanęli obok siebie, przyglądając się złotym, porośniętym futrem naczelnym. Zoolog przyklęknął, dotknął palcami potarganego białego grzebienia i zauważył:

– Te wybuchowe naboje, nie pozostawiają za wiele mięsa do jedzenia, nieprawdaż? Ledwie tego wystarczy dla całej grupy.

Wyciągnął z kieszeni małą metalową kostkę, z haczykiem i tarczą, zaczepił haczyk o ścięgno na nodze i uniósł martwe zwierzę do góry.

– Hmm. Czterdzieści siedem funtów. Całkiem nieźle. – Zważył wszystkie po kolei, zmierzył je i zapisał te informacje w swoim kieszonkowym notesie.

Tej nocy zebrana wokół rządzącego zespołem kuchennym Sewella grupa, była bardzo wesoła. Oczy ludzi pojaśniały w blasku piecyka, kiedy wypchali swoje skurczone żołądki małym mięsem i owocami które mały właśnie zjadały, gdy zaskoczyli je Hague i Balistierri. Swenson, Crosse i Whitcomb, fotograf, przejedli się i dostali gwałtownych mdłości. Ale pozostali siedzieli kręgiem, twarzami do siebie, z ukontentowaniem dłubiąc w zębach. Bormann wyciągnął z kieszeni koszuli organki i wyraźny, dźwięczny potok muzyki, pobudził ich do cichego śpiewu. Hague i Blake, bakteriolog, stali na warcie, pomiędzy drzewami.

O świcie, maszerowali już dalej, bardziej żwawo przekraczając małe potoczki, przedzierając się przez zabarwione na zielono błota i zasłonę gorącej wilgoci. W południe znowu usłyszeli sygnał rogu, i Clark rozkazał aby zachowali ciszę, oraz zwiększyli tempo. Poruszali się bardzo szybko, bez postojów, jedząc żelazne racje podczas marszu. Hague mozolił się w uprząży wózka i obserwował pot przesiąkający przez plecy koszuli, idącego tuż przed nim Bormanna. Z tyłu sierżant Brian, ciągnął z całej siły i powarkiwał pod nosem na bzykające owady, uderzając się od czasu do czasu dłonią, z cichym jękiem stłumionej udręki. Helen, skórzasty ptak Bormanna, podróżowała mu na ramieniu, gapiąc się do tyłu na twarz Hague, i wydając z siebie badawcze ćwierkania. Hague właśnie w odpowiedzi cichutko zagwizdał na nią między zębami, kiedy Bormann nagle zatrzymał się, a porucznik wpadł na niego. Helen wystartowała do lotu z zaskoczonym skrzekiem, a Clark podbiegł z groźną miną, domagając się zachowania ciszy. Borman wpatrywał się w obu oficerów, a jego młodo-stara twarz robiła się coraz bledsza z zaskoczenia.

– Zostałem... zostałem postrzelony – wyjąkał tylko, wpatrując się ze zdumieniem w przedmiot sterczący z bocznej szpary w jego pancerzu na wysokości piersi. To była jedna z tak krucho wyglądających strzał z brązu, błyszcząca metalicznie w półmroku lasu.

Hague zaklął i jednym szarpnięciem wyswobodził się z uprząży wózka.

– Jestem, zaraz ci ją wyciągnę. – Pociągnął za trzonek i twarz Bormanna wykręciła się z bólu. Hague zrobił krok do tyłu. – Gdzie jest Sewell? Ta strzała musi mieć haczykowaty grot.

– Wycofać się ze szlaku! Uformować szeroki pierścień dookoła wózka, ale trzymać się w ukryciu! Walczyć z nimi na ich własnej ziemi! – Zaczął krzyczeć Clark, i zebrani wokół wózka ludzie, zniknęli w leśnych korytarzach.

Hague i Sewell zostali sami, wciągnęli bezwładnego Bormanna pod metalowy wózek. Hague wyskoczył spod pojazdu, prostując się, wyciągnął ze środka działko pneumatyczne, złożył je, ustawił na szlaku, zakręcił wałem podajnika i położył się na stanowisku ogniowym. Spoza jego pleców Sewell chrząknął:

– Nie żyje. Trucizna na strzale musiała sparaliżować jego przeponę i mięśnie klatki piersiowej.

– Okej. Chodź tutaj, będziesz zajmował się amunicją. – Kiedy technik medyczny przyczołgał się na miejsce koło niego i otworzył jaszcz z amunicją, twarz Hague miała wyraz dzikiego zwierzęcia.

– Pilnuj szlaku za mną – mówił dalej Hague, rozkładając z trzaskiem płytę górnej pokrywy i szarpnięciem przeciągając pas z nabojami przez podajnik pneumatyczny. – Kiedy krzyknę ładuj, obróć wał podajnika, a kiedy podam ci jakąś liczbę, ustaw strzałkę metrów na tę liczbę. Zamknął płytę pokrywy i zablokował zatrzask.

– Z drugiej strony! Oni podchodzą z drugiej strony! – Sewell podniósł się na kolana, i razem we dwóch odwrócili działko w drugą stronę. Strzałka z dmuchawki zagrzechotała na burcie wózka nad ich głowami, a pomiędzy drzewami rozlegały się gulgoczące wrzaski, mieszając się z trzaskiem wystrzelonych w odpowiedzi nabojuów wybuchowych. W stronę wózka ruszyła biegiem grupa wrzeszczących szarych postaci. Hague nacisnął spust broni, działko kaszlnęło i otoczeni błękitnym ogniem jaszczurzy ludzie zaścielili ciałami błoto szlaku.

– Okej. Teraz damy trochę tym z drugiej strony. Dwóch mężczyzn przeciągnęło działko na drugą stronę i posłało świszczącą serię ładunków wybuchowych, w głąb korytarza leśnego, otwierającego się przed wózkiem. Potem zaczęli strzelać metodycznie w kolejne korytarze, prowadzące do szlaku, celując ostrożnie tak, że gdyby ich pociski wybuchły choćby odrobinę bliżej, to byłyby za krótkie i siła eksplozji mogłaby zabić ich własnych towarzyszy. Dzięki temu jednak wytworzyli pierścień zniszczenia, który zmiażdżył nawet wielkie drzewa, odrzucając ich resztki do tyłu w las, i tworząc prześwity w leśnym zadaszeniu. Niebieskie płomienie rozbłyskiwały w mroku drzew, paraliżując i tworząc niesamowity żywy obraz zatrzymanych w pół kroku, skrzeczących jaszczurzych ludzi, wyrzucając w górę ziemię, gałęzie i wielkie odłamki drewna.

Za nimi buchnął radosny wrzask. Hague zobaczył jak Sewell z wykrzywioną twarzą, spogląda do tyłu przez ramię, a następnie wielki technik medyczny zerwał się na nogi. Hague przetoczył się szybko, wyciągając zza pasa nóż. W trakcie tego ruchu widział Sewella i niewyraźną postać jaszczurzego człowieka, walczących nad nim w zwarcu, widział jak szara, skórzasta, zakończona szponami łapa, kieruje swój nóż z brązu w nieosłonięte pancerzem gardło medyka. W tej samej chwili oficer artylerii był już na nogach, tnąc nożem, i jaszczurzy człowiek upadł na leżącego Sewella. W lesie zapadła niemal namacalna cisza i Hague zobaczył Rakieciarzy przemykających z powrotem na szlak, do wózka, ostrożnie trzymających karabiny w pełnej gotowości.

– Gdzie jest Clark? – spytał Lenkranza. Siwowłosy specjalista od metali, obejrzał się ponuro za siebie.

– Nie widziałem go od chwili, gdy opuściliśmy szlak. Byłem ze Swensonem.

Wrócili pozostali, i Hague sporządził listę ofiar. Sewell, Bormann i porucznik Clark. Oficer artylerii Hague, objął teraz dowodzenie. Ten podporucznik, obecnie odkomenderowany do Geograficznej Ekspedycji, Patrol Numer Jeden – przemknęło mu przez ciągle oszołomiony mózg. Przez chwilę zastanawiał się, co komendant bazy pomyślałby o ich szansach, gdyby wiedział co się stało. Potem zrobił inwentaryzację swojego niewielkiego oddziału.

Pozostawał w nim młody Crosse, przez którego twarz przebiegał jakiś nerwowy skurcz. Dalej, był Blake, wysoki, cichy bakteriolog. Lenkranz, specjalista od metali. Hirooka, potomek japońskich imigrantów. Balistierri. Whitcomb, fotograf z poobijanym Hasselbladtem, nadal zwisającym z szyi na pasku, na jego opancerzonej piersi. Kolejnym, jaki jeszcze żył był Swenson, wielki Szwed, marynarz. No i niewzruszony sierżant Brian, który teraz spokojnie czyścił mechanizm podajnika działka pneumatycznego. No i Helen, skórzasty ptak Bormanna, trzepoczący skrzydłami nad wózkiem z zapasami, pod którym w błocie leżeli Bormann i Sewell.

– Crosse, Lenkranz, zajmijcie się szczegółami pogrzebu. Do roboty. – To był pierwszy rozkaz Hague jako dowódcy. Wydawało mu się, że tych dwóch wygląda najbardziej żałośnie z całej grupy, i pomyślał, że kopanie pozwoli im trochę uspokoić nerwy.

Crosse gapił się na niego, a następnie usiadł nagle na pniu drzewa.

– Nie mam zamiaru kopać. Nie mam zamiaru dalej maszerować. To jest szaleństwo. I tak wszyscy zginiemy. Ja zaczekam na to właśnie tutaj. Dlaczego mam ciągle iść i iść, kiedy i tak wszyscy zginiemy?

Jego unoszący się coraz bardziej głos załamał się i wybuchnął histerycznym śmiechem. Sierżant Brian w milczeniu wstał od swojej roboty nad działkiem, szarpnięciem poderwał Crosse na nogi i uspokoił go policzkiem. Potem zwrócił się do Hague:

– Czy mam zająć się przygotowaniami do pogrzebu, sir?

Hague skinął głową, i nagle jego długo pielęgnowana niechęć do twardego jak stal sierżanta, stopiła się, zmieniając się w ciepłą sympatię i podziw. Brian był człowiekiem, który mógł ich wszystkich doprowadzić do domu.

Sierżant wojowniczo zmarszczył swoje ciemne, spoglądając na Hague.

– I nie wierzę, że Crosse naprawdę chciał powiedzieć to, co powiedział. To bardzo odważny człowiek. Wszyscy zrobiliśmy się trochę nerwowi. Ale to dobry człowiek, dobry Rakieciarz.

Kiedy wózek potoczył się w dalszą drogę, miejsce bitwy wskazywały trzy znaczniki obok szlaku i stos porzuconego ekwipunku. Hague wyrzucił wszystkie przyrządy rejestrujące, pozostawiając jedynie naświetlone filmy Whitcomba, racje żywnościowe, amunicję do karabinów i dzienniki

prowadzone przez różnych członków sekcji naukowej. Na jego rozkaz sierżant Brian z niechęcią zniszczył mechanizm strzałowy działka pneumatycznego i pozostawił je smętnie sterczące na trójnogu obok podajnika amunicji i pasów z ładunkami. Przy zmniejszonym obciążeniu, jak szacował Hague, trzech ludzi mogło dać sobie radę z wózkiem, i właśnie on zajął swoje miejsce w uprzęży, razem Brianem i Crosse. Pozostali nie szli już szlakiem, ale przemykali po jego obu stronach, przeciskając się pomiędzy wielkimi podporami z korzeni a pniami drzew, kierując się terkotaniem sonaru.

Nie zostawiali już oznaczeń wytyczających szlak i Hague ostrzegł ich aby nie robili żadnego zbędnego hałasu.

– Nie zostawiamy za sobą żadnych oznaczeń szlaku. To błoto jest na tyle mocno podsiąknięte wodą, aby w ciągu kilku minut ukryć ślady odcisków stóp. Nie robimy żadnego hałasu i nie wyrzucamy więcej śmieci. Wszystko co mogliby usłyszeć, to dźwięk sonaru, a on nie niesie się zbyt daleko.

Siedemdziesiątego pierwszego dnia marszu, Hague przykucnął, niemal przewrócił się na ziemię i wycharczał:

– Dziesięć minut przerwy.

Wpatrywał się w wybrudzone błotem, obszarpane strachy na wróble, które przykucnęły wokół niego w leśnym błocie.

– I dlaczego my to wszystko robimy? – spytał, nikogo w szczególności.

– Dlaczego przez cały czas idziemy, idziemy i idziemy? Dlaczego po prostu nie położymy się i nie umrzemy w spokoju? Wydaje mi się, że teraz to najłatwiejsza rzecz, jaką mógłbym zrobić.

Zdawał sobie sprawę, że oficerowie Służby Rakietowej nie powinni mówić w taki sposób. Ale w tej chwili nie czuł się jak oficer, tylko po prostu jak zmęczony, gorączkujący, znużony do szpiku kości człowiek.

– Czy my mamy jakąś wielką jaśniejącą tradycję, która mogłaby nas inspirować? – warknął. – Nie, jesteśmy tylko nędznymi Rakieciarzami, których planują wchłonać wszystkie inne gałęzie sił zbrojnych. Nie mamy Granta, albo Johna Paula Jonesa, którzy daliby nam przykład w trudnych okolicznościach. Służba Rakietowa Stanów Zjednoczonych nie posiada niczego, poza pamięcią kilku statków, które wyruszyły w kosmos i nigdy nie wróciły na Ziemię. A nie można przecież stworzyć legendy z ludzi, którzy po prostu zniknęli.

Zapanowała cisza. Wyglądało jakby oblepione błotem postaci były zbyt wyczerpane, aby cokolwiek powiedzieć. Wtedy jednak odezwał się sierżant Brian.

– Rakieciarze mają swoją legendę, sir.

– Jaką to niby legendę, Brian? – prychnął Hague.

– To tutaj jest ta legenda, sir. „George Easy Peter Jeden”.

Hague roześmiał się pustym głosem, ale sierżant mówił dalej, jakby tego nie słyszał.

– Geograficzna Ekspedycja Patrol Jeden... zespół, którego cała planeta nie dała rady złamać. Wenus rzuciła na nas wszystko co miała: zwierzęta, bagna, trujące rośliny, głód, gorączkę, a my wytrzymaliśmy to i maszerowaliśmy dalej. Uczyniła nas tylko mądrzejszymi, twardszymi i

trudniejszymi do pokonania. A my przebijemy się przez tych jaszczurzych ludzi oraz dżunglę, i wmaszerujemy do Bazy tak jak zwykle robią to Siły Zbrojne Stanów Zjednoczonych podczas defilady.

– Chodźmy już – zawołał Hague, i zataczając się znowu stanęli na nogi, dziewięć wychudzonych kłębów rozmokłych, wybloconych szmat, nakrytych porządnymi, czarnymi, stalowymi hełmami, z opuszczonymi osłonami na policzki. Pozostali po cichu ześlizgnęli się ze szlaku, a Hague, Brian i Crosse nałożyli na siebie uprząż wózka i pociągnęli go naprzód. Oś jednego z kół zaklinowała się o pień drzewa, i kiedy z wysiłkiem szarpali się na ślepo do przodu, aby ją wyrwać, z oddali napłynął sygnał grany na rogu.

– To oni, znowu tutaj nadchodzą – wyjęczał Crosse.

– Nie... dogonią nas... jeszcze... przez... kilka dni – wycharczał Hague, rzucając się z szarpnięciem całą wagą swojego ciała, na linę do holowania. Wózek przechylił się i z impetem wyrwał się z pułapki, tak że cała trójka poleciała do przodu i przewrócili się wściekli, na błotnisty szlak.

Usiedli, ocierając błoto z twarzy, kiedy Brian przerwał nagle, ściągnął z głowy swój hełm i odrzucił go na bok. Następnie siedział w napięciu nachylony do przodu, tak jakby czegoś usilnie nasłuchiwał. Hague zanim podczołgał się do niego, przez chwilę zastanawiał się, czy to czasami nie puścił mózg mężczyzny.

– Zamknijcie się i posłuchajcie! – warknął Brian. – Słyszycie to! Słyszycie! To jest klakson! Daleko stąd, mniej więcej co dwie sekundy!

Hague również ściągnął hełm i wyteżył wszystkie nerwy, nasłuchując. Przez ciszę lasu przebijał się, jakby w regularnym rytmie, cichutki poszept dźwięku.

On i Brian zaczęli wpatrywać się w siebie rozjaśnionymi oczyma, nie śmiejąc ostatecznie powiedzieć sobie tego, co myśleli. Crosse podniósł się i oparł jak pusty worek o kółko wózka, z bezmyślnym pytającym spojrzeniem.

– Co to jest? – Kiedy wpatrywali się w niego nic nie mówiąc, ciągle nasłuchując z najwyższą uwagą, zrozumiał. – To jest Baza! Tak, to jest Baza!

Przez chwilę coś tłamsiło gardło Hague, a potem wrzasnął z całych sił i wystrzelił w powietrze z karabinu. Reszta podeszła do nich, wyłaniając się z leśnych cieni. Po chwili ich twarze wykrzywiły się w szaleńczych uśmiechach, i przyłączyli się do Hague, wstrząsając lasem ogniem z karabinów. Ruszyli naprzód, a Hirooka zainicjował monotony zaśpiew:

„Oooooooooch, Rakieciarze
mają kudłate uszy.
Całe brudne mają twarze...

Reszta wyśpiewywanych przez nich słów, nie za bardzo nadaje się do druku¹. Ale wszędzie tam gdzie docierają Rakieciarze, na każdej granicy w

¹ Bennett posługuje się przeróbką tradycyjnej piosenki artylerzystów: „The cannoneers have hairy ears, and slap their leather breeches, they wipe their ass with broken glass, and laugh because it itches” (przyp. tłum.).

kosmosie, śpiewana jest ta sprośna piosenka. Niewielki rząd ludzi maszerował szlakiem, w kierunku z którego dochodził dźwięk klaksonu. Za ich plecami coś poruszyło się w mroku i wychynęło z niego człekokształtne stworzenie o gadzim łbie, które uniosło do pyska mały, drewniany instrument. Wydobył się z niego delikatny, czysty sygnał rogu. Wkrótce pojawiły się kolejne postaci, biegnące szybko naprzód, przemykające w mroku...

Kiedy ma biurku komendanta Chapmana zabłyśło czerwone światełko, rzucił natychmiast plik papierów, którym się zajmował, i pośpieszył pomiędzy stalowymi ścianami korytarza, do windy numer jeden. Mała kabina zawiozła go do górnej części Odyseusza, gdzie w pokrytym łatami poszyciu statku wycięta była niewielka wnęka, w której znajdowało się działo pneumatyczne. Chapman szybko przeszedł obok dział i kilku marynarzy i stanął obok znajdującego się tam urządzenia nasłuchowego. Na tle widoku nieba odcinały się ciemnym kolorem cztery wielkie stożki. Operator siedzący pomiędzy nimi, na tle wschodzącego słońca był jedynie kroplą cienia, bezkształtną postacią wsłuchującą się w melodyjny pomruk wydobywający się ze słuchawek. Na pokład działowy wbiegł także Blake. Bjornson i inni oficerowie, już tu byli.

– Przekaż to na system nagłaśniający – polecił z podnieceniem Chapman operatorowi nasłuchiowca i cichutkie dźwięki, wzmocnione odbiły się echem na całym statku. Z szumiących wzmacniaczy systemu nagłaśniającego, dobiegły sprośne słowa śpiewane ochrypłymi głosami.

„Rakieciarze mają kudłate uszy.
Całe brudne mają twarze...

Ogólnie rzecz biorąc, reszta szczegółowo i barwnie opisywała pewne umiejętności i zdolności rakieciarzy.

– Jak daleko są? – dopytywał się Chapman.

Operator wyciągnął rękę w stronę tarczy, dotknął gałki, która zmieniła ustawienie jego stożków recepcyjnych o kąt równy ułamkowi sekundy.

– Są teraz mniej więcej dwadzieścia pięć mil od nas, sir.

Chapman odwrócił się do oficerów, zebranych za nim w rozradowanym kręgu.

– Branch, masz swoją szansę na jakieś działania. Weź trzydziestu ludzi, naszą tankietkę i ruszaj im na spotkanie. Bjornson, podnieś helikoptery i daj im osłonę powietrzną.

Dwadzieścia minut później, Chapman przyglądał się zbiorce wychodzącego oddziału, pod błyszczącą burta Odyseusza, i jego wymarsz do dżungli. Chwilę później zawarczały wylatujące na zachód helikoptery, jak żadne zemsty ważki.

Ludziom zebranych przy sprzęcie sygnałowym, oraz Chapmanowi na jego posterunku na pokładzie działowym, przyniesiono śniadanie. Dzień mijał nieubłagane. Obrzeże dżungli zniknęło w gęstniejących mrokach

nocy. Poranek następnego dnia zastał ludzi ciągle czekających, na swoich stanowiskach, nasłuchujących dziwnych odgłosów, które od czasu do czasu napływały z głośników. Śpiew umilkł, ale w pewnej chwili usłyszeli dźwięki które mogły być wydawane przez róg, a kilka razy gulgotące wrzaski, które nie brzmiały na ludzkie. George Jeden walczył, teraz już wiedzieli. Urządzenia nasłuchujące wychwyciły trzaski wystrzałów z karabinów, a kiedy one zamarły, zapadła cisza.

Słuchający odebrali krótki wybuch radości, który szybko ucichł, kiedy spotkały się George Jeden i kolumna z posiłkami. Czekali więc dalej i wyętzali uszy. Branch, dowodzący oddziałem posiłkowym, nawiązał kontakt ze statkiem-matką, po prostu głośno krzycząc, a dźwięk został wychwycony przez urządzenia nasłuchujące.

– Chapman, oni wracają. Będę szedł za nimi, pilnując ich tyłów. Zostali zaatakowani przez jakichś jaszurułodzi. Nie powiem ani słowa więcej, sam zobaczysz, kiedy już dotrą do ciebie.

Mijały kolejne godziny, podczas których wszyscy spekulowali stłumionymi głosami, w ciszy jaka ogarnęła okręt, wprowadzając coraz większą nerwowość i napięcie.

– Z pewnością Branch by nam powiedział, gdyby coś było nie tak, albo gdyby rejestry zostały utracone – warknął gniewnie Chapman. – Dlaczego, u diabła, musiał być taki cholernie melodramatyczny!

– Spójrzcie tam... między drzewami. Tam chyba błysnął hełm! – Zazwyczaj lakoniczny Bjornson, wyrzucił do kosza całą swoją dostojaść i, jak to później opisywał Rindell, podskakiwał jak pijany zając.

Chapman zaczął się przypatrywać z góry na obrzeże dżungli na poziomie ziemi i jego oko wychwyciło jakiś ruch.

Spomiędzy ostatnich drzew wyszedł jakiś człowiek z karabinem i stanął patrząc w milczeniu na statek, a potem ruszył naprzód, przez olbrzymią, wysypaną żużlem przestrzeń. Z tej wysokości, wydawał się Chapmanowi podobny do dziecięcego ołowianego żołnierzyka, obszarpany, wybrudzony błotem, karzełkowaty strach na wróble. Kolejne poruszenie między drzewami i pojawił się jeszcze jeden człowiek, skradający się cicho z bronią gotową do strzału, jak zwiadowca chroniący skrzydło piechoty. On również wyprostował się i spokojnie ruszył do przodu. Jako następny, wyszedł rząd trzech ludzi, uginających się w uprząży małego metalowego wózka, który podskakiwał i kołysał się jak pijany, kiedy ciągnęli go do przodu. Chwila oczekiwania i kolejnych dwóch skradających się ludzi wychynęło z dżungli, wyglądali bardziej jak atakujący piechurzy niż jak powracający bohaterzy. Chapman czekał, ale nie pojawił się już nikt więcej. To byli wszyscy.

– Mój Boże, nie dziwię się, że Branch nie chciał nam tego powiedzieć. Tam było przecież trzydziestu dwóch ludzi. – Głos Rindella wyrwał się ze zduszonego gardła.

– Tak, tylko siedmiu. – Chapman przypomniał sobie o swojej lornecie polowej i ustawił szklą na zbliżających się siedmiu ludzi. – Jedynym oficerem jest porucznik Hague. Ale oni na tym małym metalowym wózku przywieźli i wręczają nam przyszłość Służby Rakietowej Stanów Zjednoczonych.

Milczenie pękło i z wnętrza Odyseusza wylała się wrzeszcząca horda ludzi, która zalała i pochłoneła obdartą siódemkę, kotłując się wokół nich, biegając, krzycząc, wiwatując i niosąc ich na ramionach w stronę statku-matki.

Chapman, kiedy odwrócił się do swoich oficerów, wyglądał na nieco przerażonego.

– No cóż, dokonali tego. Teraz wyślemy ich zapisy na Ziemię, i w ten sposób udowodnimy, że byliśmy w stanie wykonać tę robotę. – Jego twarz wykrzywiła się w szerokim uśmiechu. – O czym ja w ogóle gadam? Oczywiście, że byliśmy w stanie wykonać tę robotę. Zawsze potrafimy to zrobić. Jesteśmy przecież Rakieciarzami, co nie?

KONIEC